Nr. 114. Lwów — Piątek dnia 17 Maja. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy nisłć równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
za tłustym garmondem po . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 6 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Paschalisa | Iryny Mucz
Jutro: św. Feliksa | Jowa mnoh.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 4 m. 25
Zachód „ „ 7 „ 29

Długość dnia g. 15 m. 4
Przybyło dnia od wczoraj m. 3

Przegląd polityczny.

Lwów 16 maja.

Powiedziano w Berlinie po odrzuceniu ustawy przeciw wywrotowi, że góra spadła z piersi niemieckiego narodu, ale oto minęło zaledwo cztery dni i ta góra znowu przytłacza owe piersi. Po radości nastąpiło zaniepokojenie, bo są wskazówki, że rząd nie myśli dać za wygranę. W niedzielę cesarz zaprosił kanclerza i ministra v. Köllera na śniadanie w familijnem swem gronie, co po znanej mowie tego ministra jest niezaprzeczenie rodzajem demonstracyi. Tegoż dnia pojawił się w *Nordd. Allg. Ztg* artykuł potępiający zachowanie się parlamentu, jako wrzekomo nietaktowne i świadczące o braku politycznej przezorności. Kończą się te wywody słowami, dającemi dużo do myślenia: „Winni obalenia tej ustawy niech będą pewni —pisze *Nordd. Allg. Ztg.*, — że nie zasłużyli na ciche oklaski tych najwyższych sfer. o których mówiono błędnie, że nie zgadzają się na projekt rządowy. Nam się zdaje, że ci winni mają wyjątkowy powód do głębokiego zastanowienia się nad skutkami tego, co uczynili."

Jest to bardzo niewyraźna zapowiedź jakichś odwetów ze strony rządu. Lecz jakich? Pisaliśmy już nieraz na tem miejscu, że rozwiązanie parlamentu i powołanie narodu do wyborów nie wydaje się środkiem dobrym dla rządu, któremu sprzyjają tylko tak zwane „stronnictwa środkowe," to jest junkrowie, cesarscy (Reichspartei) i narodowi liberałowie, obozy zaś stojące na skrzydłach parlamentarnego szyku, więc z jednej strony centrum katolickie, z drugiej radykaliści i socyaliści, coraz bardziej od rządu się odsuwają, na co mamy znowu świeży dowód w ryczałtowem odrzuceniu ustaw o nowem a większem opodatkowaniu tytoniu. Że nie chciano opodatkować namiętności, której istnienie nie przysparza narodowi dobrobytu, to tylko dowód, że między rządem a większością, którą on sam popchnął do opozycyi, istnieje już wielka ansa, jeśli nawet nie przepaść. Nowe wybory temu nie zaradzą, bo coraz jest widoczniejszem w całej Europie, że wszystkie środkowe stronnictwa schodzą z pola i niebawem zostaną na niem tylko dwa zasadniczo wrogie sobie obozy: ściśle konserwatywny z jednej strony, a socyalistyczny z drugiej. Kiedyś one stoczą ze sobą wielki bój o przyszłość społecznego ustroju, ale na razie w Niemczech są równie niemiłe rządowi. Cóż więc za pożytek wzywać naród do nowych wyborów, kiedy jest zupełna pewność, że centrum i socyaliści wyjdą z nich jeszcze silniejsi kosztem stronnictw środkowych? Ale oczywiście mówimy to o krajach, mających powszechne, albo zbliżone do powszechnych głosowanie, a właśnie w Niemczech jest powszechne przy wyborach do wspólnego parlamentu. Z tego to właśnie powodu niewyraźna zapowiedź odwetu, uczyniona przez *Nordd. Allg. Ztg.*, nie sprawiła w pierwszej chwili żadnego wrażenia w sferach pokłóconych z rządem.

Ale już w następnej chwili uczuto w nich niepokój, bo paryska depesza doniosła, iż tamtejszy *Mémorial diplomatique* w telegramie z Berlina podał wiadomość o poufnym układzie między rządami krajów niemieckich co do takiej akcyi: wniesiony będzie projekt do parlamentu, aby znieść powszechne głosowanie i uczynić je zawisłem od opłacanego podatku, nadto zaś — jak jest przy wyborach do sejmów — podzielić wyborców na trzy kurye, stosownie do wysokości opłacanych podatków. Jeśli parlament nie zgodzi się na taką reformę, wówczas przedstawiona ona będzie Radzie związkowej (instytucyi, składającej się wyłącznie z delegatów rządów krajowych) i przez nią uchwalona, a ogłoszona dekretem cesarskim. Byłby to mały zamach na konstytucyę Rzeszy, a że przeszedłby gładko, to nie ulega wątpliwości. Potem już nastąpiłoby rozwiązanie parlamentu i wybór nowego podług zmienionego statutu. Oczywiście, w tym nowym parlamencie socyalistów i radykałów byłoby mało, gdyż cała warstwa robotnicza, majoryzująca teraz swą liczebnością innych wyborców, albo nie głosowałaby wcale, albo byłaby zamknięta w jednej kuryi wyborczej. Dwie inne kurye, czy — jak je nazywają w Prusach — klasy byłyby pozbawione skrajnych żywiołów. Taki parlament będzie prawdopodobnie posiadał większość oddaną rządowi i naturalnie uchwali odrzuconą teraz ustawę przeciw wywrotowi.

Powtórzyliśmy wiadomość o takim zamiarze rządu niemieckiego podług doniesienia *Mémorial diplomatique*, ale bynajmniej nie utrzymujemy, że tak rzeczywiście będzie. Stwierdzamy tylko, że możliwość podobnej zmiany uwzględniają w Niemczech i że taki koniec dzisiejszych parlamentarnych stosunków przewidywali socyaliści, bo jeszcze kilka miesięcy temu czytaliśmy w paryskim *Figarze* sprawozdanie jakiegoś publicysty francuskiego z rozmowy z Liebknechtem, który właśnie mówił, że takie oto wyjście jest dla rządu berlińskiego ostatniem, ale że ono nie na długo wystarczy, bo naród niemiecki jest już tak rozwinięty politycznie, że nie da sobie praw ujmować, można raczej powiedzieć, że się zwolna skłania ku republikanizmowi wedle szwajcarskiej modły. Być może, iż Niemcy zechcą bronić swych praw wyborczych bardzo gorliwie, chociaż to jest dość wątpliwe, bo do walki nie staną ci, którzy owych praw nie stracą, a ci, co stracą, nie są ostatecznie straszni. Jednakże wrzekoma skłonność Niemców do republikanizmu widocznie istnieje tylko w wyobraźni Liebknechta, który niezaprzeczenie ogromnie tego pragnie.

Zmiana statutu wyborczego w Rzeszy niemieckiej podług pruskiego wzoru szkodliwie odbiłaby się na parlamentarnem Kole polskiem, co widać już z tego, że lubo Wielkopolska więcej deputowanych wysyła do sejmu pruskiego niż do parlamentu, to jednak Polaków mniej w pierwszem, aniżeli w drugiem. To się po prostu tem tłómaczy, że przy wyborach do parlamentu o rezultacie głosowania stanowi masa ludowa, a przy wyborach do sejmu — wysokość podatku. Otóż w Wielkopolsce waga masy przeważa na stronę polską, a waga podatków na stronę niemiecką. Z tego względu stanowisko Koła polskiego w kwestyi ustawy wywrotowej było trudne. Podczas rozprawy nad paragrafem „wojskowym" (112-ym) ono wcale się nie odezwało, z czego sądzić można, iż zarzutów nie miało. Natomiast opozycyą swą przeciw pierwszemu paragrafowi (111), który mówi o nieposłuszeństwie rozporządzeniom władzy i o oporze okazywanym urzędnikom, uzasadniło bardzo dobrze. Rzecznik Koła ks. dr. Wolszlegier tak mówił: „Muszę przypomnieć wyrażenie wielkiego w Niemczech męża stanu, który po zaniechaniu walki wyznaniowej rzekł: „Broń składamy tylko chwilowo". Otóż obawiamy się wznowienia tej walki pod inną postacią. Nie bez słuszności często się mówi, że Prusy posiadają armię urzędników. Każdy stróż nocny, każdy dozorca polny, każdy policyant, albo komornik (sekwestrator) — to są wszystko urzędnicy i wszystko opryskliwi wrogowie polskiej ludności. Dla nas nie mają oni żadnych względów, najmniejszej wyrozumiałości. W mojej okolicy panuje wielkie ubóstwo, chleb jedzą tam ludzie tylko w święta, a w powszednie dni żywią się jeno ziemniakami. Nie mają oni znośnej odzieży dla swej dziatwy, którą w zimie, podczas mrozów i zamieci, muszą posyłać do szkoły odległej o kilka kilometrów. Więc często nie posyłają dziatwy do szkoły i za to skazywani są na kary pieniężne, ale że ich płacić nie mogą, więc zjawia się komornik, aby zlicytować tym biedakom ostatnią poduszkę. Cóż dziwnego, że w takiej chwili rozżalony biedak zamknie drzwi swej chaty przed komornikiem, albo że kobieta zacznie cierpko wyrzekać na ostrość administracyjnych porządków? Czego niepodobna wybaczyć człowiekowi wykształconemu, to jest zupełnie do darowania prostakowi. Jego język jest inny i inne poczucie słuszności. Dotychczas za taki opór, stawiany komornikowi, była w najgorszym razie koza na dzień lub dwa, lecz jeśli przyjmniemy § 111, to za taki opór już będzie więzienie aż do roku. Powiecie panowie, że niepodobna, aby ten paragraf mógł być stosowany do takich wypadków. Odpowiem: u was może niepodobna, ale u nas!..."

Tak, roztrząsając warunki życia wielkopolskiego, długo przekonywał ks. Wolszlegier o niestosowności § 111-go, a wynika z tego, że Polacy tylko dlatego są przeciwni ustawie przeciw wywrotowi, iż całe ich życie w Wielkopolsce jest najeżone warunkami urągającymi sprawiedliwości. Ten motyw brzmiał we wszystkich przemowach opozycyi przeciw projektowi. Okazało się tedy, że społeczeństwo po prostu nie ufa rządowi i administracyi, boi się tej potęgi i dlatego odmawia jej środków, które same przez się mogłyby być dobre. Mści się na rządzie jego postępowanie.

Ale on nie porzuci obranej drogi, pójdzie raczej nią aż do kresu, o którym mówi doniesienie *Mémorial diplomatique* i w takim razie wcześniej czy później wywoła wstrząśnienie.

Przewrót w ratuszu.

Piszą nam z Wiednia, 14 maja:

O ile przesunięcie się przewagi w tutejszym ratuszu od liberalnych do antysemitów odnosi się do zarządu miejskiego, ewolucya ta jest dla nas obojętna. Wiedeń pod względem politycznym, moralnym i literackim mniejszy wywiera wpływ na prowincyę, niż którakolwiek inna stolica, a żadnego nie wywiera na Galicyę. Prócz tego we wszystkich niemal państwach stolice zajmują wyjątkowe stanowisko, zwłaszcza pod tym względem, że skład rady miejskiej stołecznej nie przystaje do składu parlamentu. Wystarcza więc zaznaczyć, że jako Polacy nie mieliśmy żadnego powodu uskarżać się na dotychczasową większość tutejszej rady miejskiej, gdy tymczasem przywódzcy nowej, antysemickiej większości w Radzie miejskiej systematycznie zaznaczali przy różnych sposobnościach wyraźny wstręt do narodu naszego i w sposób często brutalny dopuszczali się napaści na naszych mężów zaufania. Rzecz więc oczywista, że panowanie dra Luegera w ratuszu nie zwiększy naszych dla Wiednia sympatyi.

Przedewszystkiem jednak chodzi o to, jaki wpływ owa ewolucya wywrze na ogólną politykę, na ugrupowanie stronnictw w Izbie poselskiej? Stronnictwo liberalne, albo jak się samo zowie postępowe, w radzie miejskiej posunęło się do abdykacyi z dwóch powodów: najprzód dlatego, że niby to rząd nie dostarczał mu pomocy, powtóre dlatego, ponieważ z faktu, że stronnictwo antysemickie odniosło swe sukcesa jako stanowczo (w obec rządu) opozycyjne, liberałowie wyprowadzają wniosek, iż lepiej powodzić im się będzie w opozycyi. Te dwa motywa są wręcz sprzeczne. Można bowiem być tylko albo stronnictwem rządowem, albo opozycyjnem, nie zaś równocześnie jednem, jak drugiem.

Jednak krok pp. Gruebla, Richtera i t. d., popierany gorąco przez *Neue fr. Presse*, w pewnej mierze może oddziałać na niemiecką lewicę w Radzie państwa. Wprawdzie związki pomiędzy tem stronnictwem parlamentarnem a dawną liberalną większością Rady miejskiej były zawsze dość luźne. Zaznaczyło się to w pierwszych latach rządów Taaffego, gdy pp. Herbst, Plener itd. daremnie usiłowali tutejszą Radę miejską pociągnąć do demonstracyi przeciwko gabinetowi. Z 14 posłów Wiednia tylko pięciu zasiada w klubie niemieckiej lewicy, a pomiędzy tymi nie znajduje się żaden, któryby wywierał taki wpływ decydujący. Bezpośrednio więc taktyka liberałów Rady miejskiej nie oddziałała na klub niemieckiej lewicy w Izbie poselskiej.

Pośrednio, w połączeniu z prądami opozycyjnymi, które się zaznaczają obecnie bardzo silnie w liberalnych kołach pozaparlamentarnych i w pewnej części prasy niemieckiej, owa taktyka pp. Grubla, Richtera etc. jest protestem przeciwko koalicyi i zmierza do pociągnięcia niemieckiej lewicy do secesyi. Według teoryi tych liberalnych mężów stanu Rady miejskiej, we wszelkich klęskach zawiniła wrzekomo zbytnia uległość niemieckiej lewicy w parlamencie, a wystarczy przejść do opozycyi, aby odzyskać zaufanie i poparcie mas Z tego specyalnie wiedeńskiego punktu widzenia liberalizm tutejszy oburza się n. p. na niemiecką lewicę, że się ona opiera wprowadzeniu powszechnego głosowania, które w Wiedniu niezawodnie ubezwładniłoby antysemitów, oddając przewagę szerszym warstwom robotników fabrycznych.

Au fond kwestya redukuje się do tego, czy w klubie niemieckiej lewicy wpływy i interesa specyalnie wiedeńskiego liberalizmu odniosą zwycięstwo nad względami ogólniejszej natury, narodowemi, konstytucyjnemi, państwowemi, które każdemu poważnemu stronnictwu nakazują zadowalniać się raczej jako tako znośną sytuacyą w szeregach większości parlamentarnej, aniżeli bez konieczności przechodzić do opozycyi? Wytrawniejszą jest niewątpliwie pierwsza alternatywa, popularniejszą (w ujemnem znaczeniu wyrazu) druga.

Jeżeli n. p. w korespondencyi *Lloyda* peszteńskiego czytamy, że jedno Koło polskie nie jest narażone na ową presyę, która się daje we znaki innym stronnictwom, to widocznie autor nie czyta dzienników polskich. Gdyby je czytał, wiedziałby doskonale, że żadne inne stronnictwo parlamentarne nie jest zaczepiane tak systematycznie przez dzienniki i inne organa „ludowe", demokratyczne etc., jak Koło polskie! Zachodzi tylko ta różnica, że Koło, nie ulegając temu naciskowi, robi, czego wymaga roztropność polityczna. Tem, nie czem innem, tłómaczy się, dlaczego ze wszystkich klubów parlamentarnych, obecnie jedynie polski przedstawia się jako czynnik całkiem solidarny, pewny i niezachwiany.

Nuncyusz.

Piszą nam z Wiednia 15 maja:

Książę prymas Vaszary wczoraj w izbie magnatów dostarczył nuncyuszowi solennej satysfakcyi, a zarazem wykazał, że manewr p. Banffyego: wytworzenia pewnego sztucznego antagonizmu pomiędzy kompetencyą prymasa Węgier a nuncyusza, zawiódł. Nikt w sposób równie autentyczny jak książę prymas nie mógł stwierdzić, że nuncyusz w Ostrzyhomiu w niczem nie przekroczył właściwych granic. Pan Banffy widocznie swoje skargi oparł na tendencyjnych relacyach węgierskich dzienników opozycyjnych, które celem wyrządzenia gabinetowi psoty podsunęły nuncyuszowi słowa, których nigdy nie wygłosił. Intermezzo to ponownie dowodzi, jak niebezpiecznymi stają się czasem dzienniki.

Plotka o odwołaniu nuncyusza Agliardiego nie jest uzasadniona. Stolica apostolska nie ma powodu odwołać nuncyusza. Natomiast w kołach wytrawnych przypuszczają, że ks. Agliardi w danej chwili sam zażąda swego odwołania, ponieważ, czy hr. Kalnoky pozostanie czy nie, zawsze po znanych zajściach tutejsza sytuacya ks. Agliardiego byłaby dość przykra.

Dowód wielkiego taktu złożył nuncyusz, odmawiając gromadnego przyjęcia pp. Luegera, Liechtensteina itd., którzy zamierzali w piątek od parku miejskiego w kilkudziesięciu powozach przejechać się przez całe miasto, ażeby nuncyuszowi złożyć dowody swej sympatyi. Ci panowie lubują się w ulicznych demonstracyach, a mianowicie w gromadnych przejażdżkach sławnymi fiakrami wiedeńskimi. Natomiast koła rozstrzygające żywią słuszny wstręt do wszelkich podobnych demonstracyi. To też monsignor Agliardi zrobił bardzo dobrze, odmawiając przyjęcia takiej deputacyi en masse. W nuncyaturze już się zapisało kilka tysięcy wybitnych osób; wolno pp. Luegerowi, Liechtensteinowi itd. uczynić to samo bez demonstracyjnych przejażdżek po Ringstrasse.

---

9)

OPOWIEŚCI PRAWDZICA

(Obrazki z życia Sportsmana).

(Ciąg dalszy).

IV.

Nazajutrz około południa znowu gwarno i tłumno było na torze wyścigowym. Odbyło się kilka biegów, a zakończyć miał wyścigi ów wielki Steeple chase.

Zygmunt miał tylko dwie kurtki o swoich kolorach, a ponieważ jedna z nich przy przewróceniu się żokieja pierwszego dnia pękła na plecach od góry do dołu, prosił Stasia, aby jechał w swojej własnej, i zameldował zmianę kolorów przy wadze. Zdarzyło się tak, że Stasia kurtka była także czerwona i od kolorów Prawdzica różniła się tylko tem, że nie było żółtej szarfy przez piersi i plecy.

„Czarnobrewa" była na torze, i Prawdzic poszedł do wagi. Pierwszy też wyjechał i przegalopowawszy przed publicznością pojechał do startu.

Znawcy ruszali ramionami, widząc tę dużą, grubą klacz, tłustą i widocznie nie „w kondycyi" wyścigowej.

— „He rides for a fall" (jedzie na to, aby się przewrócić) — zauważył głośno jakiś trener.

Prawdzic tymczasem dojechawszy do miejsca, skąd jeźdźcy mieli wyruszać, zatrzymał klacz, i zwróciwszy się bokiem na siodle, zaczął rozmawiać ze „starterami".

— No, dziś chyba nie wygram.

— I ja wątpię — odrzekł jeden z tych panów — ot jedziesz, aby jechać, ale uważaj, że klacz nie „w kondycyi", a jak koń straci oddech, może się przewrócić, chociażby tak dobrze skakał jak ona. Całą noc deszcz padał, więc tor miejscami głęboki, a w wąwozie może być ślizko.

— Bądź spokojny, pojadę wolno, jak żyd na jarmark.

Nadjechał Zygmunt ze Stasiem, a Prawdzic, którego oku nic nie uchodziło, zauważył, że „Facet" miał w pysku znacznie ostrzejsze wędzidło, niż pierwszego dnia, kiedy biegał pod żokiejem.

— Któż prowadzi? — zapytał żartem obu współzawodników.

— Ty oczywiście — odrzekł Zygmunt blady i widocznie zirytowany, bo pierwszy raz w życiu jeździł na wyścigach.

— A! to chyba wy kłusem pojedziecie, bo moja klacz szybko nie pójdzie. Nie chciałeś mi zwrócić wkładek, ale przynajmniej mnie daleko nie zostawiajcie.

— Tylko tyle, ile potrzeba, aby wziąć pierwszą i drugą nagrodę — odparł Zygmunt.

Wyrównali się, chorągiewka opadła, i ruszyli. „Facet" wyleciał jak z procy, bo go jeździec nie mógł utrzymać.

Prawdzic oczywiście nie miał wyobrażenia o instrukcyi, jaką otrzymał Staś, ale mu to się odrazu wydało podejrzanem, że tamten trzymał się ciągle za nim z tyłu, jakkolwiek on jechał wolno, szanując oddech nieprzygotowanej do biegu klaczy. Zwolnił więc jeszcze bardziej, Staś również. Dojeżdżając do pierwszego płotu wstrzymał klacz tak, że zaczęła kłusować. Staś więc musiał wyjechać naprzód, koń jego poszedł niechętnie na przeszkodę, a po uderzeniu szpicrutem, odmawiając skoku, zwrócił się w miejscu jak na śrubie, i unosząc jeźdźca drapnął w pole.

Posłuszna „Czarnobrewa" skoczyła płot z kłusa, i wtedy Prawdzic zaczął jechać szybko, aby pozbywszy się jednego współzawodnika, dogonić drugiego.

Zygmunt tymczasem mocując się z koniem, który mu ręce z ramion prawie wyciągał, oglądnął się, i widząc czerwoną kurtkę był przekonany, że to Staś za nim jedzie; starał się więc konia, o ile mógł uspokoić, ale jakoś się to nie udawało. Ślicznie skoczył przed lożą sędziów przez rów przysłonięty płotem, a niebawem po nim nadjechał Prawdzic. „Czarnobrewa", choć doskonale skakała, szła bardzo nieprzyjemnie; głowę niosła nizko przy samej ziemi jak gończy pies węszący nosem. Dochodząc do przeszkody podnosiła głowę, skakała dokładnie tylko tyle, ile było potrzeba, i znowu z nosem przy ziemi galopowała dalej.

Panna Olga stała w powozie i pilnie śledziła jeźdźców, a rączka trzymająca binokle przy oczach, drżała jak we febrze. W koło powozów było mnóstwo panów starszych i młodszych.

Kiedy Prawdzic najeżdżał na ową przeszkodę przed lożą sędziów, Włodzimierz M., znany jako doskonały jeździec myśliwski, a za młodych lat i wyścigowy, rzekł głośno:

— Nie wiem jak to dziś z Prawdzicem będzie i zupełnie mu tej jazdy nie zazdroszczę.

— Co tam pan Prawdzic! — rzekła półgłosem Olga.

Włodzimierz na nią popatrzył.

Tymczasem Zygmunt ciągle mocując się z koniem tracił po trosze oddech i siły, ale za to koniowi przeszkadzał iść, i dobrze skakać W skoku przez parkan zaczepił i wyłamał jedną deskę, z czego oczywiście skorzystał Prawdzic i skoczywszy w miejscu gdzie był ten wyłom, szybko podążał za „Facetem". Kiedy się już prawie z nim równał, i widział rozpaczliwą walkę jeźdźca z koniem, zaczął cmokać, aby „Faceta" jeszcze więcej podniecić..

— Czego cmokasz? — zirytowanym głosem zawołał Zygmunt, myśląc, że to Staś go dopędza — mnie i tak koń drze jak wściekły; mam pełne ręce.

— Bo mi klacz leniwo idzie — śmiejąc się odparł Prawdzic.

Wtedy dopiero Zygmunt oglądnąwszy się, zobaczył żółtą na piersiach szarfę i z zadziwieniem przekonał się, że zwalniał biegu, aby się dać dogonić swemu koniowi, a tymczasem doganiał go Prawdzic. Wyobrażenia nie miał o tem, co się ze Stasiem stało.

„Facet" znowu, czując, że go drugi koń dochodzi, szedł w cugle tak, że jeździec stracił prawie nad nim władzę, a Prawdzic napierał go coraz bardziej, cmokając, niby na swoją klacz, bo dojeżdżali do przeszkody bardzo karkołomnej, zwanej wałem irlandzkim („Irish bank", „Banquette irlandaise").

Był to wał trzy stopy wysoki, a tylko ośm stóp szeroki; przed nim rów ośm stóp szerokości, a za nim znowu rów sześciostopowy. Ponieważ niepodobna koniowi przeskoczyć tego wszystkiego naraz, trzeba więc, aby był bardzo we władzy jeźdźca, ażeby mógł, skoczywszy przez pierwszy rów na wał, zatrzymać się na nim przez cząstkę sekundy, a odbiwszy się od niego jak piłka, przeszkoczyć rów następny.

Prawdzic jako rutynowany jeździec znał się z tym rodzajem przeszkody doskonale, — i przyszło mu na myśl: „A nuż jeszcze drugiego się pozbędę?..." i roześmiał się w duchu sam do siebie.

Napierał więc „Faceta" o ile klaczy sił stało, chociażby miała za ową „bankietą" zupełnie oddech stracić.

Ale „Facet" nie potrzebował już napierania, sadził jak szalony, a jeździec z każdą chwilą bardziej tracił oddech i siły.

Zobaczywszy przed sobą wznoszący się wał, koń rzucił się jakby w szarży, przeskoczył jednym zamachem pierwszy rów i cały wał i... znalazł się głową naprzód, a raczej na dół, w drugim rowie, przygniatając sobą jeźdźca.

Prawdzic zaś poczciwą flegmatyczną „Czarnobrewę" wstrzymał, najechał powoli, metodycznie skoczył przez jeden rów na wał, z niego przez drugi rów, w którym leżał Zygmunt, i wolno sobie pojechał dalej, aby klacz trochę odetchnęła.

Przyjechał do wąwozu, na dnie którego płynął strumyk, zjechał ostrożnie stępo, wydrapał się na brzeg przeciwny i nie spiesząc się, biorąc jedną przeszkodę po drugiej, podążał do mety. Tymczasem Staś zrobiwszy nadprogramową i zupełnie mimowolną przejażdżkę gdzieś po stepie po za torem, powrócił do owego płotu, który mu koń odmówił i tym razem z ostrogami w brzuchu konia i okładając go szpicrutem najechał tak, że koń skoczył bez wahania, a zmiarkowawszy, że jeździec z nim nie żartuje, wszystkie też następne przeszkody brał bardzo gładko.

Zygmunt z dziwną, jak na człowieka pierwszy raz na wyścigach jeżdżącego, zimną krwią nie wypuścił cugli z rąk, wydobył się z pod konia i wyciągnął go z rowu.

Właśnie kiedy się był pozbierał i wskakiwał na konia, nadjechał Staś.

— A widzisz ty, gdzie tamten! — krzyknął wskazując na Prawdzica, którego kurtka daleko widniała przed nim. I puścili się wyciągniętym galopem w pogoń.

Do wąwozu wjechali za szybko; jednemu koń wleciał w wodę, ale wylazł z niej szczęśliwie, drugiemu, drapiąc się na przeciwną ślizką ścianę parowu, pośliznął się i upadł, ale zaraz się zerwał i pojechali całym pędem, jakim konie iść mogły, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że już Prawdzica nie mogą doścignąć.

Cudem prawie żaden z nich nie skręcił karku w tej szalonej gonitwie.

Prawdzic tymczasem, jadąc wolnym galopkiem „jak żyd na jarmark", skakał rozważnie przez wszystkie przeszkody i stanął u mety na spoconej, zapienionej i zadyszanej „Czarnobrewej", witany grzmotem oklasków.

Kiedy tamci dojeżdżali na wyczerpanych zupełnie koniach, on już rozsiodływał klacz przy wadze.

Zygmunt zaledwie się zważywszy pobiegł do powozu panny Olgi, którą zastał podrażnioną i jakąś gorączkowo-wesołą. Jakkolwiek drażliwy na kwestye finansowe, jakoś nic a nic nie martwił się tem, że przy pierwszem swojem wystąpieniu na torze wyścigowym, obydwa biegi przegrał, ani nawet tem, że w biegu myśliwskim wywrócił kozła, bo kilka starszych kumoszek z „towarzystwa" opowiadało mu później, jak żywe wrażenie sprawił na pannie Oldze, jak nagle pobladła, kiedy on zniknął w rowie za wałem, a jak potem powesela i twarz jej się rozjaśniła, gdy się ukazał znowu na koniu.

Te opowiadania dodały mu odwagi, zaczął się starać i został przyjęty. Panna Olga jednak wymówiła sobie, aby już nigdy więcej nie jeździł na wyścigach.

Prawdę mówiąc, on kupił był „Faceta" i jeździł na wyścigach tylko dlatego, że sobie na pannę Olgę już przedtem „parol zagiął"; a na tych wyścigach wystąpić chciał z efektem.

V.

W rok później w programie wyścigowym do wielkiego biegu myśliwskiego na tym samym torze zapisany był JW. hrabiny Zygmuntowej S. „Facet" pod jej własnemi kolorami, odmiennemi od mężowskich.

Trenował go u siebie Prawdzic i on też na nim jeździł. Tym razem „Facet" z łatwością pobił współzawodników.

Kiedy wrócił do wagi i pani Olga głaskała go po ślicznem jakby z marmuru wyrzeźbionem czole, mąż jej odezwał się:

— Pamiętasz rok temu jak się tutaj świetnie przewróciłem?

— Ach! a jak się wtedy przestraszyłam.

— I bardzom kontent, żem się przewrócił, bo dobrze się stało.

— Jakto?

— Bo jak mi baby zaczęły opowiadać, żeś się tak przestraszyła, nabrałem odwagi starać się o twoją rękę.

— Byłabym za ciebie poszła nawet bez tego przewracania się.

— Ale ja może nie byłbym miał odwagi starać się o ciebie.

I popatrzyli sobie w oczy; a że to było „coram publico", więc tylko uścisnęli się za ręce ale w tem spojrzeniu i ściśnieniu rąk widać i czuć było, że im dwojgu tak dobrze ze sobą, jak mało komu na tym świecie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Korespondencye.

Wiedeń 14 maja.

Rząd nosi się z myślą przeprowadzenia kilku bardzo pożądanych reform w ustawie o należytościach.

Przedewszystkiem zamierza minister skarbu przedłożyć w jesieni projekt ułatwienia przenoszenia prawa własności małych posiadłości, zwłaszcza jeżeli posiadaczami są wieśniacy. Już w roku 1890 ułatwiono kupno i sprzedaż małych realności, stosując do nich mniejszy wymiar należytości. Teraz ułatwienia te znacznie jeszcze mają być rozszerzone. Dalej zaprowadzoną być ma reforma podatku od spadków i podatku giełdowego.

Obie te reformy mają na celu jedynie powiększenie dochodów skarbu. Podatek od spadków mógłby o wiele więcej przynieść, gdyby go rozkładano równomierniej niż dotychczas, gdyby zniżono opłaty od mniejszych spadków, a podwyższono stosownie od średnich i większych. Tak samo podatek giełdowy o wiele większe przynieść może dochody. Chodzi tu poprostu o podwyższenie należytości od transakcyi, których posłowie sami kilkakrotnie się już domagali. Teraz pobiera się należytość od transakcyi bez względu na wartość papieru. Jestto niesłuszność, którą uczuwać muszą sami ajenci giełdowi, a która stwarza pewien przywilej dla najwięcej wartościowych papierów. Za transakcyę w nordbahnach (o kursie 3640 do 3650 zł.) płaci się tyle, co za transakcyę w akcyach kolei morawsko-szląskiej (o kursie 12 zł.)!

Państwo zresztą potrzebuje pieniędzy i musi coraz więcej do tych zwracać się źródeł, które dotychczas były niejako uprzywilejowanemi. Właśnie w tej chwili rząd zajmuje się kwestyą pomnożenia parku kolejowego linii państwowych, a na to znowu potrzeba pieniędzy. Jestto rzeczą znaną, że towarzystwa prywatne kolei żelaznych, ilekroć stoi na porządku dziennym sprawa upaństwowienia, wstrzymują się ile możności z zakupowaniem lokomotyw, wagonów, z naprawianiem nawet budynków i dróg, o ile ono nie jest niezbędnem. To też państwo obejmując następnie takie linie, musi zużyty materyał odnawiać.

Tak już w roku 1893 w kwietniu parlament uchwalił kwotę 5.5 mil. zł. na zakupno 3000 wagonów ciężarowych, potrzebnych kolejom państwowym. Był to jednak tylko środek dorywczy, który najnaglejszym odpowiadał potrzebom. Obok zaniedbanych przez dawniejsze dyrekcye odnawiań materyału, narzuca się dzisiejszemu zarządowi kolei także potrzeba uwzględnienia coraz większego ruchu zarówno towarowego jak osobowego. W ruchu lokalnym, grupującym się dokoła miast wielkich (zwłaszcza Wiednia i Pragi), brak wagonów i lokomotyw staje się bardzo dotkliwy, a żądaniom publiczności jadącej na większą odległość o wygodniejsze plany jazdy, o odpowiedniejsze umieszczenie osób w wagonach, dyrekcya nie jest w stanie zadość uczynić. W ruchu lokalnym doszło się już do tego, że ciężarowych wagonów krytych, przeznaczonych na transporta wojska, używa się jako wagonów trzeciej klasy. Takie stosunki są wprost niemożebne. Rząd wniósł tedy przedłożenie, w którem prosi o kredyt 10 mil. zł. na wydatki dla kolei. Suma ta ściągniętą ma być w drodze pożyczki 4procentowej, a użytą będzie na zakupno 139 lokomotyw (za 4.95 mil.), 462 wozów osobowych (za 3.41 mil.), 182 służbowych wagonów (za 700.000 zł.) i 500 ciężarowych (za 940.000 zł.). Przy tej sposobności przypomnieć się godzi, że niektóre zamówienia wykonaćby można w kraju naszym. Rząd nie mógł z bieżących dochodów pokryć tych wydatków, które w latach 1895 i 1896 wyniosą w każdym roku około 3 mil. zł., a w latach 1897 i 1898 po 2 mil. zł. Zaczyna się budzić większa ostrożność w traktowaniu dochodów i wydatków. Przykład Węgier, które wyczerpały zasoby kasowe, zbawiennie oddziałał na przedlitawską gospodarkę. Trudniej bowiem deficyt uprzątnąć, niż na nowo go wytworzyć sangwiniczną polityką. Dotychczas kredyt monarchii wielkimi cieszy się względami. Ażyo spadło nawet na półtora procent, chociaż przed rokiem prawie trzy razy tak wielkie było. A spekulacya liczy się z dalszem jeszcze spadaniem kursu złota i sprzedaje obce waluty, rozumując, że wielkie zapasy cukru po wyższej cenie dostaną się w najbliższym czasie na targ zagraniczny, a ztąd zobowiązania zagranicy powiększą się, napływ obcych walut nie ustanie, lecz raczej się pomnoży. Czy te obliczenia są słuszne? Wedle obliczeń pism amerykańskich główny konsument cukru (Stany Zjednoczone) w roku 1894 sprowadził cukru z Europy nie więcej niż 1.5 mil. cntnr. metr., a z tego trzy czwarte z Niemiec.

Austryacki eksport do tego kraju stanowi tylko 2¾ pct. europejskiego. To też rozumowania spekulantów są bardzo optymistyczne.

Przewodnik po Londynie.

Jeden z dziennikarzy polskich mieszkających w Londynie pisze co następuje:

Bawili tu świeżo dwaj rodacy — Galicyanin przybył w celu specyalnym — obejrzenia pewnych instytucyi i urządzeń szkolnych; Warszawianin „wpadł“ do Londynu dlatego, bo był w Paryżu i nie chciał wracać do kraju, nie poznawszy Londynu. Nie bawili tu równocześnie; pierwszy, niezamożny, zatrzymał się dopóty tylko, póki mu czas i „inne okoliczności“ pozwalały; drugi, prawdopodobnie zamożny i życia wielkomiejskiego poza własnym krajem doświadczony, poświęcił Londynowi cały tydzień. Obaj zaszczycili mnie odwiedzinami; kolejno, z każdym spędziłem przyjemne chwile — i od obu nauczyłem się i dowiedziałem wielu rzeczy, dających się streścić w dwóch punktach: *primo*, dowiedziałem się, iż Londyn ma na stałym lądzie reputacyę olbrzymiej kuźni — zczerniałej, brudnej, ponurej — pod niebem wiecznie zamglonem; *secundo* nauczyłem się podziwiać Londyn, jak się go nie podziwia, gdy się tu żyje i pracuje od lat nazbyt wielu, nazbyt długich.

— Wie pan! — wołał Warszawianin — ja nie rozumiem doprawdy, dlaczego nasi rodacy tu nie przyjeżdżają! Tu się dopiero widzi na każdym kroku, co to jest prawdziwa praca, nieustraszona inicyatywa i jakie stąd bogactwa! U nas nie ma się pojęcia o tym przepychu szalonym, o tak wzorowym porządku — o takiej szybkości ruchu i pracy! Cóż taki Paryż znaczy po takim Londynie! Ha! nie dziwię się teraz, że Anglicy są tak... zblazowani!

— Taj paaanie drogi! — wołał Galicyanin — mnie tam wierzyć nie będą, jak ja zacznę opowiadać o tym kolosalnym ruchu w City i o tej kolosalnej zbytkowności na Westendzie! Taż to u nas, proszę pana, najwięksi magnaci poszliby w kąt — i t. d.

Warszawianin, choć prawdopodobnie bardzo zamożny, dodawał: „Tylko... że drogo! A niech ich wszyscy — i t. d.!!! Zaś biedny Galicyanin unosił się, że: „Panie dobrodzieju, toż to ogromnie tanio! daleko taniej niż we Lwowie, albo w Krakowie!“

Pięknością Angielek i Angieleczek obaj byli zachwyceni: „Jakie to zdrowe! — wołali — jakie szykowne, w ruchach swobodne, jakie pyszne mają włosy! i ręce i stopy... wcale a wcale nie takie, jak tam u nas mają!“

Nakoniec opłakiwali obaj niepodobieństwo obejrzenia „wszystkiego w Londynie.“ Jednemu śpieszno było do obowiązków — drugiemu... „Paryżysko oklejane“ zabrało zawiele czasu i teraz — do wód znaglało.

Zachwycać się Londynem i Angielkami — przestałem już dawno. Magnifika nie pozwala jednego, a tamto spowszedniało. Jeżeli jakiem miastem zachwycam się, to chyba jeszcze tylko Kamieńcem Podolskim. Zapewne i ja jestem zblazowany.

Lecz to pewna, że ten wielki zbiornik miast i miasteczek, rozłożony w czterech hrabstwach Anglii, ma swoje jedyne, osobliwe uroki i powaby — zwłaszcza dla ludzi, obytych z życiem w innych, wielkich stolicach europejskich. Długoletnie doświadczenie przekonało mnie, że osoby wykształcone oglądają Londyn, jakgdyby on stanowił panoramę dziejowych nabytków ludzkości w każdym kierunku umysłu i pracy. O czem się słyszało gdzieś, lub czytało — tutaj się widzi w rzeczywistości. — Ale... dam spokój ogólnikom i, słuchając rady mych niedawnych gości, opowiem czytelnikom — jak i jakim kosztem pieniężnym można obejrzeć Londyn najkorzystniej.

Warszawianin, zasłyszawszy od kogoś w Paryżu, że hotel Langham stoi w doskonałej pozycyi i jest „bardzo przyzwoity“, zajechał wprost z dworca do Langham. Jestto hotel olbrzymi, urządzony z najwyszukańszym zbytkiem, zwiedzany prawie wyłącznie przez amerykańskich milionerów — i, jak wszystkie hotele pierwszorzędne w ulicach pierwszorzędnych Westendu, bardzo drogi. Galicyanin stanął także na Westendzie, ale w bocznej ulicy, w hoteliku niemieckim. Langham dał malutki pokoik za 6½ szylinga dziennie: pokoik, nic więcej; w hoteliku, za 2½ szylinga dziennie, był pokoik, światło, usługa i... pierwsze śniadanie, złożone z kawy lub herbaty, jaj, kawałka mięsa, chleba i masła. Każdy konieczny wydatek w Langhamie wynosił najmniej 35% więcej, niż w hoteliku — gdzie nadto mógł się gość rozmówić po niemiecku, lub francusku i mógł bez fałszywego wstydu rozpytywać się o sposoby najtańszego rozglądania się po nadtamizańskim świecie.

Drugą rzeczą najwyższej wagi jest tu metoda jedzenia. Z pierwszego śniadania radzę zawsze korzystać najsumienniej, bo tego wymaga klimat. Powietrze jest tu bardzo czyste, dość znacznie przesiąkłe solą morską, ostre, apetyt zaostrzające. Uczciwego gruntu w żołądku wymagają także dalekie podróże, piesze lub wozowe, czy kolejowe po Londynie, a nie wszędzie się spotka najpowiedniejsze restauracye. Kto się musi, lub chce liczyć z z każdym groszem, zrobi najlepiej, wchodząc na drugie śniadanie — między 1-szą i 3-cią godziną do restauracyi, mającej na szyldzie nazwisko włoskie.

Te są w Londynie najliczniejsze, zwłaszcza w ulicach najruchliwszych. Cena bardzo wystarczającego kotleta (chop), lub bifsztyka z kartoflami, wyniesie 1 szylinga. Muszę tu nadmienić, że — przeciwnie jak w Paryżu — nikt się nie potrzebuje żenować, choćby w najparadniejszej restauracyi, zjadając tylko kotlet na śniadanie lub obiad. Świat tu jest tak przywykły do pośpiechu i do.... dyspeptyków, że nikogo nie dziwi, jeżeli się pomija „table d'hôte“ i ilość potraw konwencyonalną.

Kto po pierwszem śniadaniu odłoży sobie 3 szylingi na dzienne odżywienie się, ten z głodu nie zginie, choć może pozazdrości ludziom, wydającym na ten sam cel szylingów sześć. Palić wolno we wszystkich restauracyach nieangielskich.

A teraz kilka wskazówek co do oglądania stolicy.

Obranie sobie mieszkania w środku miasta — a więc między ulicą Regenta a katedrą św. Pawła — jest warunkiem koniecznym oszczędności i łatwego oryentowania się. Dorożki (cab) są drogie i używane tylko w razach nadzwyczajnych — gdy kto się zabłąka lub śpieszyć musi „na łeb, na szyję“. Bardzo są tanie koleje żelazne, trzyklasowe — podziemne, naduliczne i podrzeczne. Z mojego obwodu jedzie się do City koleją pół godziny, bilet powrotny kosztuje miedziaków (penny = 10 centymów) 3, 6 lub 9, stosownie do klasy. Tramwaje są tylko na przedmieściach i we wschodnich dzielnicach; w City nie ma dla nich miejsca, a Westend niemi gardzi. Omnibusy krążą wszędzie — a w głównych ulicach nieustannie, jeden za drugim, prawie bez przerwy.

Jeżeli czytelnik stanie rano przed swoim hotelem, zwrócony twarzą na południe, to ma po lewej ręce Londyn pracujący, a po prawej Londyn używający owoców tamtej pracy. Kościół św. Pawła rozgranicza te światy dość dokładnie. Na wschód od niego, czyli tuż od rozległych i przepysznych gmachów jeneralnej poczty, wchodzi się słynną ulicą Cheapside (którą od rana do wieczora zaledwie przecisnąć się można) w ulice banków całego świata, instytucyi finansowych i największych domów handlowych. Tu więc jest właściwa City — miasto, zajmujące około pół mili polskiej kwadratowej, którego królem, nieustępującym tu kroku samemu następcy tronu, jest lord-major. Dygnitarz ten nie ma jurysdykcyi po za City.

Na wschód od banków, przez główne ulice, graniczące ze słynnemi obwodami Withechapel, Stepney, Hackney i t. d., gdzie 90 prc. ludności jest nieangielskiej, gdzie bywa żydów więcej, niż w Krakowie, więcej Irlandczyków celtyckich, niż w Dublinie.. dochodzi się do dzielnic portowych, zajmujących przestrzeń naszej półtory mili kwadratowej. Im dalej na północ i na południe od tej wielkiej arteryi wschodniej, tem ruch pracy słabnie — aż się dociera do dzielnic i przedmieści, w których tylko sznury za sznurami ciągną się kamienice i kamieniczki prywatne. Przemieścia te i dzielnice na wschód od św. Pawła, zamieszkuje ludność warstw wszelkich, lecz przeważnie ta, która nie może lub nie chce zdobyć się na rezydowanie w dzielnicach i na przedmieściach zachodnio-południowych i zachodnio-północnych. Londyn wschodni dobiega aż do Chingfordu, w hrabstwie Essex i do Greenwich, w Kent — czyli do miejscowości, oddalonych od św. Pawła około trzech mil polskich

Londyn zachodni — od św. Pawła do Richmondu i znanych światu naukowemu ogrodów w Kew — ciągnie się w prostej linii naszych mil cztery z okładem. Przy katedrze otwierają go ulice dziennikarskie, w których gmach każdy mieści jakąś redakcyę stołeczną lub agencyę gazet prowincyonalnych, wreszcie biura korespondentów do pism zagranicznych. *Times*, najbliższy katedry, ma tu całą mieścinkę gmachów; *Daily Telegraph* imponuje granitowym pałacem, a *Standard Daily News* i *Daily Chronicle* — niby wielkie ministerya — są zaraz obok. Główna ta ulica dzienników zowie się *Fleet street*; jeżeli czytelnik ma interes do któregokolwiek dziennika, angielskiego w ogóle, szkockiego, irlandzkiego, amerykańskiego, afrykańskiego, indyjskiego... lub nawet krakowskiego (jednego), to pod adresem „*Fleet Street, London*“, nie zawiedzie ani poczta, ani telegraf. Ruch tu olbrzymi przez całą dobę, bo w nocy uganiają się reporterzy do wielkich gazet porannych, a za dnia nie ustaje komunikacya z City.

Dziwne jest, że katedra stoi bezpośrednio między bankami i dziennikami! Wśród banków — matka ich wszystkich, Bank Anglii, zwany tu popularnie „staruszka“ (*the Old Lady*), zajmuje olbrzymi kwadrat, nie wyglądając atoli ani jednem oknem na którąkolwiek z czterech ulic, z których najgłówniejsza ma trafną nazwę „ulicy Igły i Nitki“. Wiadomo, że Bank Anglii, założony w roku 1699, nie jest instytucyą rządową — mało co jest rządowego w tym kraju — tylko przedsiębiorstwem kompanii prywatnej, której oryginalne udziały 5-cio funtowe warte są dziś około 400 funtów sterl Ale bank ten przyjmuje depozyt rządu, wypłaca z nich, rządzi mennicą pod kontrolą kanclerza państwowego skarbu i jest w istocie skarbcem królestwa, cesarstwa i kolonii. Dlatego też jest skarbcem — całego świata, kasą oszczędności prawie wszystkich ludów pod słońcem. Igła i nawleka nici obu półkól. Między nią a *Fleet street* stosunek jest najściślejszy. Telegramy, odbierane po tej stronie katedry, decydują, czy Igła nawlecze, lub zwlecze tę nić lub nitkę tamtą; a każde drgnięcie onej Igły po tamtej stronie katedry wpływa na treść redakcyjnych komentarzy i artykułów w wielkiej ulicy wszechświatowych informacyi. Dziwnie więc jest, że świątynia Boża rozdziela te dwie najwyższe potęgi świata — pieniądz i prasę.

Bezpośrednio z ulicą dzienników, idąc na zachód, łączy się dzielnica prawników. Tutaj, u wstępu do ulicy Strand, wzniesiono przed dwunastu laty majestatyczne w czystym stylu wcześnie-gotyckim gmachy trybunałów sprawiedliwości, a dokoła nich mrowisko biur adwokackich i notaryalnych zajęło przestrzeń kwadratowej mili angielskiej. Są tam wielkie skwery i ogrody, otoczone szczelnie gmachami, w których tylko juryści się gnieżdżą.

Cały Strand, od trybunałów aż do dworca Charing Cross, to ulica teatrów i blichtru. Jest tam do 25 teatrów w głównej ulicy i obok, są magazyny najrozmaitszych rzeczy niedrogich, a szykownych lub błyskotliwych: są więc krawcy o twarzach wschodnich; jubilerzy, wystawiający „złoto“ egipskie, abisyńskie i elektryczne, brylanty czeskie i perły paryskie; są bardzo tanie jadłodajnie niemieckie, trzeciorzędne bufety amerykańskie; tu ubogi elegancik londyński zaopatruje się w bieliznę i obuwie; tu są „redakcye“ owych tygodników i miesięczników o treści anegdotycznej, zbieranej z czasopism całego świata, stanowiącej pokarm umysłowy sklepowej i urzędniczej młodzieży angielskiej. Na piętrach nad sklepami są biura pokątnych adwokatów, przeróżnych ajentów prawniczych, sportowych, handlowych i matrymonialnych.

Dworzec Charing Cross i olbrzymi obok niego skwer Trafalgaru (z kolumną Nelsona, z pomnikami słynnych wodzów i z kolosalnymi lwami Landseera) stanowią geograficzny środek metropolii. Ztąd wprost na południe ulica Parlamentu wiedzie do gmachów ministeryalnych, do Westminsteru i do starożytnego opactwa, a dalej, przez rzekę, do historycznych dzielnic: Southwark i Lambeth, liczących razem 750.000 mieszkańców; potem do rozległych przedmieść i aż ku pałacowi kryształowemu w Sydenham, dokąd jedzie się całą godzinę pociągiem pośpiesznym z Charing Cross. Całą północną stronę skweru Trafalgarskiego zajmuje gmach Galeryi narodowej, mieszczący arcydzieła malarzy dziejowych. Dalej na północ przez dzielnice będące od lat zamierzchłych koloniami Francuzów, Włochów i Niemców, słynną ulicą magazynów mebli dobiega się do parku Regenta, największego w stolicy, do przedmieść zamieszkałych przez artystów pędzla, dłuta, sceny i pióra, do prześlicznych pagórków i błoni w Hampstead i Highgate; wreszcie do kończyn metropolis w hrabstwie Hertford do których pociąg z Charing Cross pędzi trzy kwadranse.

Ze skweru Trafalgarskiego wprost na zachód wchodzimy do kraju klubów pierwszorzędnych. Najdzielniejsze (Gwardyi, Ateneum, Reformy, Carlton, Junior Carlton, Armii i Marynarki, Podróżnych) ciągną się głównie wzdłuż południowej strony ulicy Pall-Mall, a każdy z nich imponuje rozmiarami gmachów, okazałością i przepychem wewnętrznych urządzeń i komfortu, świetnością liberyi i tradycyami, które się związały z dziejami kraju politycznemi i społecznemi. W końcu Pall-Mall'u, ukazuje się z poza bram skromny Marlborough-House, pałac księcia Walii Naprzeciwko, w starożytnym, anglo-normandzkiego stylu, pałacu St. James, rezyduje księstwo Yorku. Na południe ztąd park St. James's wiedzie do królewskiego pałacu Buckingham; idąc zaś ulicą St. James's (pełną klubów arystokratycznych) ku północy, wchodzimy na Piccadilly, ciągnącą się w kierunku zachodnim. Ulice: Piccadilly, Bond i Regenta — to miasto najwykwintniejszych i najdroższych magazynów, mieszkań kawalerskich najwytworniejszych, najsłynniejszych restauracyi angielskich i francuskich. Piccadilly kończy się pałacami wielkich bankierów, a przy bramie do Hyde-Parku stoi ogromny z kolumnadą pałac księcia Wellingtona. Dalej na zachód pałace po lewej stronie, a Hyde-park po prawej, zajmują uwagę idącego dobre pół godziny. Blisko ztąd, na południe, a poza parkiem na północ, ciągną się długie mile ulic arystokratycznych i skwerów, gdzie już magazynów ani biur nie ma żadnych, gdzie nie mieszka, kto nie trzyma powozów i koni i służby upudrowanej, kto nie posiada zamków na prowincyi, plantacyi w Indyach i w Australii, albo przynajmniej wielkich kapitałów w City.

Jeszcze dalej na zachód docieramy do Instytutu cesarskiego, do olbrzymich wystaw corocznych w Olympii i w Earls-Court, potem dopiero do przedmieść i do Kew i do Richmond'u, gdzie Tamiza, która przy Westminsterze ma tysiąc kroków szerokości, tu już jest tylko strumieniem i staje się niebawem strumykiem.

Na dalekim, dalekim krańcu wschodnim metropolii, już niedaleko składów portowych, groźna i ponura strzeże Tamizy „Wieża“ (Tower), forteca, pełna historycznych pamiątek. Jej podwaliny pamiętają czasy przedrzymskie, dni przed-Chrystusowe. Na dalekim kresie zachodnim stolicy, tuż obok ratusza w Richmond, pokazują głaz z ziemi wystający, na którym stojąc, apostoł Anglii, św. Augustyn, dał chrzest święty baronom króla Etelberta... Między temi krańcami i między końcami stolicy na południu i na północy, warto oglądać ślady czterech cywilizacyi. Każda z nich — przedrzymska i rzymska, średniowieczna przed współczesną — wyryły swoje znamiona w pomnikach bez liku, patrzących dziś na przeszło sześć milionów ludności, tak między sobą typowo i obyczajowo rozróżnionej, jak ludy korony brytańskiej.

KRONIKA.

Lwów 16 maja.

Laska marszałkowska, ofiarowana przez cesarza Wilhelma Cesarzowi austryackiemu, ma być w swoim rodzaju arcydziełem, wykonanem według rysunku prof. Döplera. Laska odlana jest z czystego złota, wysadzona brylantami i rubinami, pomiędzy którymi przewijają się zielone emaliowane liście dębowe na białem i czerwonem tle. Sploty dębowe kończą się koroną pruską. Na lasce umieszczono napis: „Wilhelm II, król pruski, swemu czcigodnemu sprzymierzeńcowi Franciszkowi Józefowi I, cesarzowi Austryi, królowi Węgier.“

Mianowania. Minister handlu zamianował kontrolera głównej kasy Wiktora Gajewskiego naczelnym kasyerem kasy dyrekcyi poczt we Lwowie. Zarządzca poczty Ludwik Eder zamianowany starszym zarządcą na Podzamczu. Kontrolerzy poczt Teofil Kuliński i Józef Piętak mianowani starszymi kontrolerami we Lwowie.

P. Maryan Smoluchowski otrzymał w uniwersytecie wiedeńskim doktorat filozofii *sub auspiciis imperatoris*. Imieniem Cesarza namiestnik Dolnej Austryi wręczył dr. Smoluchowskiemu pierścień brylantowy.

Zwiedzanie kopalń wielickich. Jak co roku, odbędzie się w oba dni Zielonych Świąt tj. 2 i 3 czerwca zwiedzanie kopalń wielickich. Bilety wstępu sprzedaje księgarnia Krzyżanowskiego w Krakowie.

Konkursa. Okręgowa Rada szkolna we Lwowie ogłasza konkurs na posadę rz.-kat. katechety w szkole św. Marcina — Dyrekcya poczt ogłasza konkurs na posadę pocztmistrza w Gwoździcu w pow. kołomyjskim.

Rozruchy robotnicze powtórzyły się wczoraj po południu około godziny 5. Tłum złożony ze stu ludzi wyruszył z placu Krakowskiego w kierunku Kleparowa, ale w ulicy Szpitalnej rozpędziła go policya, przyczem jedną kobietę silnie poturbowano.

Minister od jeżdżenia. Czytelnicy zauważyli zapewne, że nie ma tygodnia, aby p. Banffy, prezydent węgierskiego gabinetu, nie odbywał podróży do Wiednia. Korespondencyjne Biuro telegraficzne z gorliwością godną lepszej sprawy rozsyła po całej Europie zawiadomienia telegraficzne o każdej takiej jego podróży, — a tych podróży jest tak dużo, że powstał już projekt — co prawda dotąd tylko w pismach humorystycznych — aby dla Węgier mianowała Korona osobnego ministra od jeżdżenia.

Rewizye skarbowe w Krakowie. Wczoraj rano zarządziła dyrekcya krakowskiego okręgu skarbowego rewizyę celem wyśledzenia odbiorców losów tureckich, które wykluczono z państwa austryackiego w r. 1889, przyczem losy znajdujące się wówczas w obiegu otrzymały ostemplowanie znaczkami stemplowemi emisyi r. 1888. Prócz owych stemplowanych losów żadne inne losy tureckie po r. 1889 nie mogły być wprowadzone do monarchii, nawet za dodatkowem ostemplowaniem. Ale to pewnym finansistom nie wydało się przeszkodą nie do usunięcia. Wprowadzali oni dalej losy tureckie, doko-

---

32)

PAWEŁ BOURGET.

ZA MORZAMI.

(Ciąg dalszy).

Wróciliśmy do policyi. Nasz towarzysz został u wrót i miał zupełną racyę, gdyż słynny dyrektor policyi p. Byrnes, któregośmy nareszcie zastali, mówił nam o nim w taki sposób, że wizyta nasza byłaby naprawdę przykrą, gdyby Bazarow brał w niej udział. Ten szef policyi, najlepszy, jakiego miał kiedykolwiek Nowy York, jest to olbrzym o srogiem wejrzeniu, usta ma zaciśnięte, wzrok przenikliwy. Dziwne zaiste wrażenie odnosi się, gdy tak w ciągu kilku sekund przechodzi się z towarzystwa zdecydowanego rewolucyonisty w towarzystwo zawodowego stróża bezpieczeństwa. Każdy człowiek cywilizowany czuje wtedy, że w tej walce nieubłaganej musi stanąć po stronie porządku społecznego i legalności. Wrażenie to w dalszej mej wędrówce odniosłem jeszcze w silniejszym stopniu. Pan Byrnes, chcąc nam dodać towarzysza w tej wycieczce w krainę nędzy, kazał przywołać jednego z najlepszych ajentów, któremu jednak przyrzekłem nie wymieniać jego prawdziwego nazwiska. Nazwę go zatem Clark, tak jak owego nihilistę nazwałem Bazarowem.

Do biura wszedł człowiek niski i tłusty, z ogromnymi wąsami, o szczękach jakby stworzonych do kąsania i płaskim nosie. Jest coś zwierzęcego w tej muskularnej postaci, a najmniejszy ruch jego zdradza prawdziwie dziką zręczność. Wystarczy popatrzeć na niego, ażeby zrozumieć gust romansopisarzy amerykańskich, wybierania detektywów policyjnych za bohaterów sensacyjnych powieści. W ludziach tej rasy energia fizyczna i moralna musi ustawicznie wytryskać, jak u żołnierza na wojnie. Odwaga, przytomność umysłu, zdolność podołania każdemu niebezpieczeństwu, zręczność i chytrość, a przytem pewna jowialność, są jakby wypisane na twarzy tego atlety policyjnego.

Pożegnaliśmy się z panem Byrnes, którego źrenice rozjaśniły się na widok „swego człowieka“ i zeszliśmy na ulicę, gdzie przedstawiliśmy pp. Clarka i Bazarowa Zaprawdę, zetknięcie się oko w oko tych dwóch ludzi, było jakby nagłem objawieniem całego antagonizmu dwóch światów socyalnych. Wzrok rewolucyonisty stał się zuchwały, jakąś zuchwałością ironiczną, a zarazem wystraszoną, mały nos policyanta zaś skurczył się jak pysk dogi, gdy ma się rzucić i ukąsić

Słowa „very glad to meet you, sir“, (Bardzo rad jestem, że pana spotykam) wydobyły się z ust rewolucyonisty jakimś głuchym pomrukiem, a gdy potem szli obok siebie, to nawet patrząc na ich plecy odnosiło się wrażenie, że się widzi dwa światy, będące w walce ze sobą Jeden w postawie żołnierskiej w płaszczu starannie wyczyszczonym, w lśniącym kapeluszu, w silnych butach szedł z nadzwyczajną pewnością siebie, drugi zaś z przyzwyczajenia i przez zuchowatość przesadzał jeszcze bardziej swoje niedbalstwo: leniwo wlókł nogi, ręce włożył w kieszenie pantalonów podartych i zatłuszczonych, wyraz twarzy przybrał obojętny. A jednak zaczęli rozmawiać ze sobą z tą dziecięcą poufałością, która zdaje się unosić niejako w powietrzu w tym demokratycznym kraju i wydobywać się wszystkiemi porami.

— To dziwna rzecz — rzekł Bazarow — że jeszcze nigdy nie spotkaliśmy się, panie Clark.

— I że cię nigdy jeszcze nie aresztowałem, mój chłopcze — odrzekł ajent.

— O, — wtrącił polski żyd — my wiemy dobrze o tem, że p. Byrnes i jego ludzie nie bardzo lubią tych, którzy pracują nad organizacyą pracy, a ci nawzajem nie bardzo lubią pana Byrnesa i jego ludzi...

W głosie cudzoziemca czuć pewien odcień dumy i przekory. Obawiając się sprzeczki, zwróciłem rozmowę na inne tory i począłem wypytywać Clarka o jego życie i jego zawód. Ajent powiedział krótko ile ma lat, ile dzieci, poczem rzekł: „Well — widzisz pan, zawód mój daje ustawicznie rozmaite małe emocye. W przeszłym tygodniu n. p. zrozpaczony złodziej już włożył mi w usta lufę rewolweru. Gdyby był pociągnął za cyngiel nie miałbym dziś przyjemności zawrzeć znajomości z panami i z tym dżentlemanem.“ Przy tych słowach łypnął znów okiem na Bazarowa. Widziałem, że muszkuły jego poruszyły się pod suknem płaszcza. Żal mu widocznie, że widzi swą zdobycz tak blisko a nie może rzucić się na nią. Oczy jego zapłonęły złowrogim blaskiem. Jego zawód nastręczający tyle emocyi każe mu teraz ochraniać tego wroga, którego miałby tak wielką ochotę zdławić. Zapanował jednak nad sobą, począł dalej rozmawiać i poczęstował rewolucyonistę cygarem.

Rozmawiając weszliśmy w samo serce dzielnicy, którą Nowojorczycy nazywają Bowery od starego wyrazu holenderskiego, oznaczającego fermę. Brudna ulica, w którą się zapuszczamy, mogłaby bardzo dobrze znajdować się na przedmieściu Rzymu lub Neapolu. Mieszkają w niej sami Włosi.

Uszedłszy kilkadziesiąt kroków pomiędzy temi ruderami pokrytemi włoskimi szyldami i afiszami, weszliśmy do jakiegoś lokalu w parterze, składającego się z dwóch izb wąskich jak kabiny okrętowe. Mężczyźni i kobiety, w liczbie ośmiu, pracują w nich, w smrodliwem powietrzu. Czad wydobywający się z małego piecyka odurza zaraz po wejściu w próg. A co za niechlujstwo! Ani jeden z tych ludzi nie mówi po angielsku, zapytuję więc ich w ich języku rodzinnym i dowiaduję się, że pochodzą z Catanzaro w Kalabryi. Przed czterema laty zwiedzałem to piękne miasto, z którego roztacza się prześliczny widok na morze, a do którego trzeba się drapać po wzgórzach, pokrytych kaktusami. Dlaczego nie zostali w domu, gdzie tak pięknie?

Nieprzezwyciężona nadzieja zapędziła ich tutaj, do tego lochu, za który płacą ośm dolarów miesięcznie. W domu mogliby za te pieniądze dostać mieszkanie na cały rok. Zamiast widzieć z okien sine góry, głębokie parowy pełne zieloności, i nieskończone morze, mają tu przed oknem zimne i smrodliwe jak kanał podwórze, w którym bielizna sąsiadów zawieszona na sznurach rozszerza zaraźliwe mikroby. Tak samo zapewne wygląda na całej tej ulicy.

Weszliśmy do drugiego domu, do mieszkania, zajętego przez familię, składającą się z dziewięciu osób. Rodzina ta przybyła z Caserty. Kobiety i dzieci, odziane w jakieś łachmany, dygocą z zimna, pomimo że piec rozgrzany jest do czerwoności. Litość budzą ci wygnańcy o twarzach, ogorzałych od słońca rodzinnego. O dwa kroki dalej dziewczęta z Abruzzów, otulone w grube szale, podszywają kołdry. Chude i zużyte już, pomimo że nie mają więcej nad dwadzieścia lat, uśmiechają się uśmiechem człowieka, któremu głodno i chłodno, a zwłaszcza chłodno, aż do kości, aż do krwi i przeklinają „questa brutissima terra“ (tę ohydną ziemię) W jednym z szynków widzę kolorowaną podobiznę okrętu, na którym ci biedacy zapewne tu przyjechali, nad nim anons niemiecki towarzystwa transportowego, a w drugim szynku jakieś ogłoszenie, mające za godło krzyż Sabaudzki. Jest pewien symbolizm w przypadkowem zestawieniu tych ogłoszeń. Czyż bowiem zubożenie Włoch i tłumna ucieczka ich mieszkańców za ocean, nie jest dziełem trójprzymierza i szału militarnego?

W oknie jakiegoś kantoru widzimy włoskie banknoty z firmą „Banca popolare“ (Bank ludowy). Po tem cośmy widzieli, napis ten wydaje się nam czystą ironią. „Czyż nie sądzicie panowie — rzekł socyalista z emfazą — że lepiej zrobionoby, gdyby te pieniądze rozdano tym nieszczęśliwym ludziom, których właśnie widzieliśmy? A co będzie, gdy oni wezmą je sami, nikogo o to nie pytając...?“

„Nie zrobią tego — odrzekł ajent policyjny z filozoficzną powagą — kradzież nie jest zbrodnią właściwą tej ulicy. Pchnięcie sztyletu i prostytucya, to jej specyalność. Mężczyzni sprzedają swe żony Chińczykom, zamieszkałym w przyległej dzielnicy. Ustawy nasze nie pozwalają bowiem kobietom chińskim mieszkać w Stanach Zjednoczonych, a John (John jest to przezwisko, jakie Amerykanie nadają Chińczykom) John gustuje bardzo w białych kobietach i płaci za nie ostatni grosz z tego, co zarobi lub co skradnie. Bo kradzież jest znów specyalną zbrodnią Chińczyków, a pijaństwo Irlandczyków. Ale oto chińska ulica“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[illegible] ostemplowania w ten sposób, że skupowali zużyte stemple emisyi r. 1888, oczyszczali je starannie, nalepiali na losy i przybijali sfałszowane stemplie. Manipulacya taka uchodziła dość długo; losy tureckie krążyły w ten fałszywy sposób ostemplowane, a na giełdzie wiedeńskiej pojawiły się w masach, zagrażających publicznemu kredytowi. Takich to losów, już fałszywie ostemplowanych, lub jeszcze nieostemplowanych dla braku stemplowych znaczków emisyi r. 1888, poszukiwały organa władz i policyjne, przerywając różowe sny różnym „finansistom“. Rewizye odbyły się w Krakowie i w Podgórzu, przeważnie zaś na Kazimierzu. Plon był obfity; zakwestyonowano znaczną liczbę tureckich losów, oraz korespondencyi i pism, odnoszących się do sprowadzania ich, a wskazujących, że obrót tymi papierami dokonywany był i w Krakowie na wielką skalę. Wyszły też na jaw różne sztuczki finansowe pewnej kategoryi „finansistów“, pożyczających pieniądze na procent i handlujących złotem i srebrem. Rewizyi dokonano u przeszło 50 osób, a losów zakwestyonowano około półtora tysiąca sztuk. Wartość nominalna takiego losu wynosi 400 franków; kurs ich dzisiejszy 83 złr.

Podanie p. Piątkowskiego, prezydenta sądu krajowego we Lwowie, o przeniesienie go w stały stan spoczynku, zostało przyjęte, przyczem p. Piątkowski otrzymał jedno z wyższych odznaczeń orderowych. Prawdopodobnym jego następcą jest radzca p. Bauch.

Losowania. Losy kredytowe ziemskie: główna wygrana 45.000 zł. padła na ser. 2421 nr. 34, druga 2000 zł. ser. 3734 nr. 2.

Węgierskie losy hypoteczne: główna wygrana 50,000 zł. ser. 2860 nr. 97, druga 1500 zł. ser. 1456 nr. 26.

Węg. losy prem.: główna wygrana 120.000 zł. s. 2573 nr. 9, druga 12.000 zł. s. 3166 nr. 58, trzecia 5000 zł. s. 207 nr. 26.

Serbskie losy tytoniowe: główna wygrana 40,000 fr. s. 9711 nr. 12, druga 1000 fr. s. 1883 nr. 29, trzecia 500 fr. s. 4434 nr. 28.

Ze Szląska wybiera się deputacya do Cesarza i do rządu w sprawie przeszkód, stawianych przez radę miejską cieszyńską założeniu gimnazyum polskiego w Cieszynie.

Fryzyerzy lwowscy na odbytem wczoraj walnem zgromadzeniu uchwalili postarać się u władz o [illegible] odpoczynku niedzielnego. Pomimo, że odpoczynek byłby bardzo ograniczony, gdyż wedle powiatowej decyzyi ma polegać na zamykaniu sklepów dopiero od g. 4 po południu, a nadto wyłącznie w ciągu 4 miesięcy w roku tj. grudzień, styczeń, luty i marzec, na 73 głosujących, 31 oświadczyło się przeciw zaprowadzeniu odpoczynku.

Pożary. W Żywcu pożar zrządził znaczne szkody w fabryce mydła Munka. Onegdaj wybuchł wielki ogień w Żydaczowie. Spłonęło wiele dużych budynków, wśród nich kościół, sąd i magistrat. We wtorek Długopole pod Nowym Targiem spaliło się dnia 14 b. m. 120 gospodarstw, czyli cała wieś, bo pozostały tylko cztery obejścia nie tknięte. W Komarnie dnia 15 b. m. wybuchł pożar, który zniszczył pół miasta.

Wielki pożar nawiedził wczoraj miejscowość Mecreno w Belgii. Wydaleni ze służby garsoni podpalili przez zemstę hotel „Voyageurs“. Wśród gości powstało straszne zamieszanie. Tłoczono się, wyskakiwano przez okna, przyczem wielu jest pokaleczonych i potłuczonych. Dwoje dzieci spaliło się nawet.

Przeciw socyalistom w Belgii. Ten sam projekt, który wywołał w Niemczech postawienie na porządku dziennym kwestyi ustaw antyprzewrotowych, wyłonił się w Belgii. Dzienniki tamtejsze donoszą, że rząd postanowił zwalczać socyalizm za pomocą wyjątkowych ustaw. Pierwszym krokiem na drodze tej ma być wydalenie ze służby wszystkich nauczycieli, uważających się za socyalistów.

Z życia w Chinach. Niezwykły pod wielu względami tryb życia chińskiego przejawia się między innemi i w świętach, których liczba jest dość znaczna. Synowie państwa Niebieskiego nie znają niedziel i z tego powodu ich rozrywki świąteczne, rzadsze niż u nas, odznaczają się wielkiem ożywieniem. W ścisłem przestrzeganiu świąt niewątpliwie gra wielką rolę religijność. Tak przynajmniej można wnioskować z gorących modlitw, zanoszonych do różnych bogów i bogiń; ale niemałą rolę gra także przyjemna perspektywa spędzenia po pracy paru godzin poświęconych odpoczynkowi i rozrywce.

Tak jak i inne narody, a może więcej, Chińczycy cierpią na brak pieniędzy. Ubóstwo jest jedną z najbardziej rozpowszechnionych chorób pomiędzy synami państwa Niebieskiego. Z tego powodu bóg, dający szczęście i bogactwo, cieszy się wielkimi względami w Chinach. Chińczycy przedstawiają tego boga w postaci bardzo sympatycznej. Liczne ofiary, składane w jego świątyniach, świadczą, jak wielkiej zażywa popularności. W drugi dzień drugiego miesiąca w roku przypada święto jemu poświęcone, podczas którego ludzie [illegible] pobożnych. Takiego boga nie bywa zwykle w inne święta. Ofiary, składane bożkowi bogactwa, nie odznaczają się kosztownością. Chińczycy przynoszą potrawy i rozmaite drobnostki, które składają na kolanach posągu. Aby przeniknąć zamiary bożka, rozdającego dobra ziemskie, uciekają się Chińczycy do następującego sposobu. Na jednym z placów przeznaczonych do [illegible] ustawiają armatę, a w nią zamiast naboju kładą kulę z trzciny, poczem wypalają z tej przedhistorycznej armaty. Kula wyrzucona na znaczną wysokość, spada wolno na dół i ten, kto zdoła ją złapać, wedle powszechnej opinii przez cały rok będzie się cieszył względami fortuny. Można sobie wystawić, jak wielkie zamieszanie robi się wśród tysiącznego tłumu, chcącego pochwycić kulę. Szczęśliwiec, który złapie kulę, może być pewnym, że jego niefortunni współzawodnicy [illegible] podarków przy dźwiękach głośnych i bardzo rozstrojonych instrumentów.

Drugie, niemniej popularne święto chińskie, istnieje na cześć smoka. Ustanowiono je około IV wieku przed Narodzeniem Jezusa Chrystusa. W tym czasie żył znany minister Bogdychana Tsu, który otworzył narodowi oczy na 1.001 krzywd, zrobionych mu przez władzę. Ukarany za zbyteczną otwartość, Tsu postanowił zemścić się i napisał na bogdychana jadowitą satyrę, następnie chcąc uniknąć niechybnej kary śmierci, rzucił się w rzekę Milo. Pewien rybak, który był świadkiem samobójstwa, rzucił się mu pomoc, lecz uratować go nie zdołał. Od tego czasu przy dniu śmierci mężnego ministra obchodzą Chińczycy wspaniałem świętem, które jednocześnie jest i świętem rybaków. Początkowo odbywała się tylko procesya, z czasem dodano do niej i wyścigi wioślarskie. W tym celu używane są duże czółna, przypominające kształtem smoki, mające długości od pięćdziesięciu do stu stóp. W każdem z tych czółen w środku mieści się wielki bęben, w który biją dla dodania zapału wioślarzom, znajdującym się w liczbie 50 do 60. Uderzenia w bębny pod wpływem oklasków widzów, tłoczących się na brzegach, stają się coraz częstsze i łódki lecą, jak ptaki. W każdej łodzi jeden z Chińczyków stoi i szuka jakoby ciała ministra Tsu. W jednem ręku trzyma sztandar, a drugą rzuca w wodę ryż, żeby rozgonić złe duchy, które mogą dusze topielców. Po wyścigach zwycięzcy otrzymują nagrody. Ceremonia ta nie obywa się bez bójki pomiędzy współzawodnikami.

Święta mają szczególniejsze znaczenie dla Chinek. Wiadomo, jak ściśle zamknięte życie prowadzą kobiety w Chinach; wychodzą one z domu tylko wtedy, gdy mają złożyć komu wizytę. Niektóre święta mają charakter wyłącznie kobiecy i są obchodzone tylko przez kobiety. I tak np. w dziewiętnastym dniu drugiego miesiąca w roku wszystkie Chinki zbierają się w pagodach bogini miłosierdzia i urodzaju Kwandzun. Boginię tę przedstawiają zazwyczaj z dzieckiem na ręku. Podanie niesie, iż urodziła się w dziewiętnastym dniu drugiego miesiąca i dlatego dzień ten wybrano na obchód świąteczny. W święto to w przedsionkach pagód grają muzyki, a wewnątrz kapłani odprawiają uroczyste nabożeństwo. Chinki siedzą lub stoją około stołów, ustawionych przed posągiem, obwieszonym rozmaitemi ofiarami. Kapłani chodzą około modlących się i śpiewają modlitwy z początku wolno, potem coraz prędzej, a w końcu wpadają w ekstazę, zaczynają tańczyć i kręcić się około stołów. Po ukończeniu ceremonii kapłani, natchnieni proroczym duchem, oznajmiają Chinkom, iż modlitwy ich zostały wysłuchane. Prawie w tej samej porze roku przypada święto na cześć nieba. Kobiety wieszają nad drzwiami wchodowemi swych domów sagowe palmy i czosnek, posiadający przywilej odganiania złych duchów i pieką pierogi, w które kładą jakąś trawę, mającą chronić od trucizny. Z pierogami temi wiąże się mnóstwo przesądów. Chińczycy czynią z nich podarki wszystkim znajomym, a nawet posyłają do Australii i Kalifornii przyjaciołom, którzy tam wyemigrowali. Trawa, o której mowa, posiada, istotnie, pewne własności dezynfekcyjne i należałoby Chińczykom jadać ją częściej, niż raz na rok, bo ludzie ci nie mają najmniejszego pojęcia o hygienie; gotując potrawy lub herbatę, używają złej wody, która staje się przyczyną najrozmaitszych chorób.

Z izby sądowej. W sekcyi trzeciej przed sędzią p. Maksymowiczem toczyła się dziś rozprawa przeciw tutejszemu rzeźnikowi p Mokrzyckiemu, oskarżonemu o obrazę p. Hermana Grünfelda. Rzecz się wiąże ściśle ze sprawą dostawy mięsa dla wojska, którą — jak wiadomo — dzierżą w swoich rękach przedsiębiorcy węgierscy, mianowicie wspomniany p. Grünfeld. Raz w rzeźni miał p. Mokrzycki zwrócić się do p. Grünfelda z pogróżkami; zarzucał mu, że dostawia wojsku lichego mięsa, że nie dotrzymuje warunków kontraktu; wreszcie rzucił p. Grünfeldowi i jego spólnikom drastyczne nazwanie: „*Ungarische Räuber.*“ Owóż pomijając wszystkie inne zarzuty, p. Grünfeld pozwał p. Mokrzyckiego przed sąd tylko z powodu wymienionego epitetu.

Na pierwszym terminie rozprawę odroczono dla powołania rozmaitych świadków, dziś doprowadzono ją do końca. Oskarżyciela zastępował dr. Ashkenazy, obrona spoczywała w ręku dra Zygmunta Lisiewicza.

W toku rozprawy wyszły na jaw wcale niepochlebne dla p. Grünfelda, jako dostawcy, fakta. Świadkowie skonstatowali, że dostawiał on bydło chude, niezdatne na rzeź, że sztucznie podnosił wagę wołów, dając im tuż przed zważeniem dużo karmy itd. Przytem postępowanie jego miało być pełne arogancyi. Raz n. p. na zarzut zrobiony mu przez kogoś, iż woły przeznaczone na rzeź są złe i że może ściągnąć na siebie komisyę, miał on odrzec po niemiecku: „E! co mnie komisya obchodzi, lepszych wołów bić nie będę, zresztą mogę bić co mi się podoba, choćby koty nawet, a oni mięso przyjąć muszą!“ Przytem on sam sprowokował postępowaniem swojem p. Mokrzyckiego i rzeźników, traktując ich pogardliwie z góry i to do tego w rzeźni, gdzie wedle obowiązujących przepisów ani jemu, ani jego służbie wchodzić nie wolno.

Jednakże wszystkie te fakta nie były przedmiotem rozprawy, bo zarzutami na ich podstawie czynionymi p. Grünfeld się „nie obraził“, a dowodu prawdy na wyrażenie „ungarische Räuber“ sędzia nie dopuścił, uważając to za zwykłą obelgę.

Chodziło więc tylko o skonstatowanie, czy p. Mokrzycki słowa takie wyrzekł. Skonstatował to świadek podporucznik Zdenko Danesz, który odkomenderowany był do odbierania mięsa dla wojska. Mimo to świadek ten przyznał, że w sprzeczce między p. Grünfeldem a p. Mokrzyckim, słuszność była po stronie ostatniego. Woły bowiem dostawiane przez Grünfelda były najgorszego gatunku. Z reguły ważyły 20 do 30 kilogramów niżej obowiązującego minimum. Najlepsze woły p. Grünfelda ważyły co najwyżej 350 kilogramów tj. tyle ile wedle przepisów ważyć może wół najgorszy jakiego przyjąć by można jednego na kilkanaście sztuk. Zdarzały się nawet wypadki, że świadek był zmuszony nie przyjmować wołów p. Grünfelda, a raz nawet aż trzy sztuki równocześnie mu odrzucił.

Mimo skonstatowania tych wszystkich faktów, sędzia uznając, że nie należą one do rozprawy, wobec tego, że stwierdzono, iż p. Mokrzycki użył słów „Ungarische Räuber“, skazał go na 4 złr. kary. P. Mokrzycki zgłosił odwołanie.

Zły sposób. Jeden z przedsiębiorców teatralnych w Chicago, chcąc napełnić salę publicznością, kazał afisz ułożyć w taki sposób:

NERO

Drama by Richard Mansfield

Performance only for the thinking audience.

(Neron, dramat Ryszarda Mansfielda. Przedstawienie wyłącznie tylko dla myślącej publiczności).

I przedsiębiorca mniemał, że każdy mieszkaniec Chicaga kupi coprędzej bilet, aby uchodzić za człowieka myślącego. Tymczasem spotkał go straszny zawód. Chicagowianie powiedzieli sobie, że musi to być sztuka nudna i nikt nie poszedł.

Wypadek w Żywcu. Wskutek wiadomego zajścia w Żywcu wnieśli Pernerstorfer i Kronawetter interpelacyę do rządu, w której między innemi czytamy:

„W Żywcu osiedlił się tymi dniami kandydat adwokatury dr. Zygmunt Leser. Zaraz po przybyciu dra Lesera, zgłosił się doń rewizor policyi i oświadczył mu bez ogródek, by opuścił miasto, lub przedłożył metrykę chrztu. Jednemu i drugiemu żądaniu dr. Leser odmówił. Wieczorem zebrali się tłumnie mieszkańcy miasta, wpadli do pomieszkania dra Lesera, zdruzgotali meble i zniszczyli garderobę jego. Wszystko to stało się pod bokiem starostwa i żandarmeryi. Nie pierwszy to raz zresztą obywatele wyznania mojżeszowego, nawet jako urzędnicy przeniesieni przez władzę do Żywca, bywali napastowani i lżeni w oczach władz miejscowych. Trafiło się to między innymi np. adjunktowi sądowemu Władysławowi Drobnerowi, który widział się zmuszonym mieszkać po za siedzibą swego urzędu, w jednej z przyległych do Żywca wniosek“.

Ze stanowiska prawnego jest kwestya łatwa do rozstrzygnięcia i nie przedstawia żadnych wątpliwości. Pozostawiając jednak chwilowo jurydyczną stronę tej sprawy na boku, zupełnie nie rozumiemy stanowiska dra Lessera któremu miłość własna i ambicya nie powinny były pozwolić osiąść w mieście, o którem prawdopodobnie z góry wiedział, że jako izraelitę przyjmą go tam bardzo niechętnie.

Zmarli. Floryan Jaworski, b. dzierżawca ziemski, więzień stanu z r. 1846, umarł w Mielcu w domu swego syna, sędziego powiatowego p. Zygmunta Jaworskiego.

Stan powietrza. T. o 8 rano $+9^{0}$ R. w poł. $+15^{0}$ R. Bar. 751. Spada. Deszcz chwilowy.

W szkole.

N a u c z y c i e l. Dlaczego Germanowie podnieśli bunt przeciw Warrusowi?

U c z e ń. Bo im kazał ucinać głowy siekierą, a oni nie mogli się do tego przyzwyczaić.

Teatr. Dziś we czwartek „Roznosicielka chleba“, sztuka w 5 aktach a 9 odsłonach X. de Montepina i J. Darnay. W piątek nie będzie przedstawienia. W sobotę przedstawienie składane na dochód budowy domu słuchaczy politechniki lwowskiej

---

Literatura i Sztuka.

* **Kronika sztuk plastycznych.** Dwa, względnie trzy salony paryskie, jeden na polu Marsowem, drugi na polach elizejskich, wraz z salonem niezależnych stanowią corocznie najważniejszy turniej artystyczny w Europie, pomiędzy sobą zaś rywalizują o palmę pierwszeństwa. O dziwactwach tegorocznego „salonu niezależnych“ o jego „pointillizmach“ „prerafaelizmach“ i t. d. donosił nasz korespondent paryski, nadto osobno rozbieraliśmy krytycznie pierwszy z tych kierunków. Już i oba oficyalne salony są otwarte, jeden i drugi nagromadził pewien zastęp sensacyjnych dzieł, obliczonych na ściągnięcie publiczności. W tym roku palmę pierwszeństwa przypisują salonowi na polach Elizejskich. Zaraz przy wejściu do wielkiej „salle d'honneur“ zwraca na siebie uwagę olbrzymi obraz Pawła Laurensa, zatytułowany „La Muraille“ (1218 r.). Jest to scena z czasów wyprawy przeciw Albigensom. Artysta zaopatrzył swój utwór w następujące objaśnienie, zaczerpnięte ze starej kroniki: „Simon de Montfort powierzył dowództwo nad załogą zamku Tuluzy bratu swemu Wilhelmowi. Żołnierze i mieszczanie pracują dniem i nocą nad jego ufortyfikowaniem. Pomiędzy zamkiem a miastem wznieśli oni szańce, wykopali rowy i usypali wokoło wały“. Na obrazie widzimy mnóstwo mężczyzn i kobiet, pracujących z gorączkowym pośpiechem nad dokończeniem ścian obronnych i wałów. W olbrzymim piecu, z którego bucha żar i kłęby dymu ciemnego, wypala się cegły, służyć mające do wznoszenia murów. Wśród tego dymu u szczytu obrazu widać fantastyczną postać jeźdźca uzbrojonego, wskazującego mieczem miasto, podczas gdy umieszczona obok druga postać, wyobrażająca giermka, trzyma w ręce rozwinięty sztandar z napisem: „Śmierć Monfortowi!“ Artysta, trzymając się dokładnie legendy, jaka powstała w czasie wyprawy przeciw Albigensom, umieścił na swym obrazie te dwie postacie fantastyczne, przepowiadające śmierć bliską Montforta, dowódzcy wyprawy, który zginął istotnie w roku 1218. Słusznie wszakże artysta dołączył do obrazu objaśnienie, zapożyczone ze starych roczników Tuluzy, w przeciwnym bowiem razie trudno byłoby domyśleć się prawdziwej jego treści. W obrazie podziwiać rzeczywiście należy tryskające z niego ożywienie, ruch wszystkich przedstawionych postaci, wspaniałą perspektywę, pozwalającą widzieć szeroki krajobraz, roztaczający się za szańcami. Za to koloryt jest zbyt jednostajny; ten sam kolor czerwonawy, który posiadają mury, pokrywa i postacie ludzi. Ztąd pewna jednostajność, nużąca oko.

To płótno olbrzymie, przeznaczone dla miasta Tuluzy, kosztowało artystę parę lat pracy i studyów historycznych nad daną epoką i wymagało dużo talentu, jaki niewątpliwie posiada w dużym stopniu sędziwy Laurens, pełniący w tym roku obowiązki prezesa „jury“ salonu.

Edward Détaille, ów mistrz w malowaniu scen wojennych, poświęcił w tym roku penzel swój sportretowaniu książąt: Wallii i Connaught na koniach, podczas przeglądu pułku „highlandaerów“. Książę Wallii siedzi na koniu skarogniadym o wspaniałych kształtach. Obok niego książę Connaught, w takim samym mundurze generalskim, z cienką długą laską na koniu maści karej. Obie postacie, przedstawione na czele obrazu, zajęte są przeglądem defilującego wojska. Za nimi stoi wspaniały sztab, złożony z kilkunastu wojskowych. Po lewej stronie osób, znajdujących się na przedzie obrazu, na równinie, pokrytej trawą, maszeruje wspomniany pułk w szeregach ściśnionych. Porządek i zręczny układ całej sceny, oświetlenie jasne, słoneczne, wreszcie utrzymane w odpowiednim tonie mundury wojsk angielskich i harmonia ogólnych linij obrazu, nie rozpraszając uwagi widza na podrzędne szczegóły, pozwala zwrócić ją głównie na postacie dwóch książąt, o co głównie chodziło artyście. W ostatniem swojem dziele Détaille uniknął szczęśliwie, że tak powiem, charakteru zbyt oficyalnego, jaki zazwyczaj noszą tego rodzaju portrety.

Z artystów zagranicznych wystawił w tym roku Munkacsy dwa wielkie płótna: „Kobiety u stóp Krzyża“ i „Przed zmową“. Pierwszy z tych obrazów, przeznaczony dla kaplicy Andrassego, figurował już w roku zeszłym na jednej z wystaw, urządzanych na cele dobroczynne. Jest to największe płótno treści religijnej, znajdujące się w tegorocznym salonie.

Drugi obraz „Przed zmową“, przedstawia zebranie robotnicze w ciasnej, dusznej szynkowni. Do zgromadzonego tłumu przemawia jeden z agitatorów. Człowiek ten, stojący na stole, ubrany w wyszarzane palto, o rozwianych włosach na głowie, gestykulując żywo, zachęca zebranie do urządzenia bezrobocia. Wokoło niego tłum oszołomiony wydaje okrzyki i bije oklaski. Jeden z obecnych, rozentuzyazmowany wymową oratora, jak szalony podskakuje do góry i zamaszyście wywija rękami. Po drugiej stronie stołu któryś z przywódzców ciągnie za sobą jednego z robotników, snadź wahającego się, czy przystąpić do zmowy. Na pierwszym planie obrazu umieszczony został robotnik, który, wyczerpany ze znużenia, usnął na krześle, nie kłopocząc się o to, co się naokół dzieje. O kilka kroków od niego siedzi drugi robotnik, na poły odurzony alkoholem i hałasem. Waha się, nie wiedząc, czy zostać, czy też opuścić szynkownię. Żona jego, trzymając na ręku małe dziecko, bierze go łagodnie za ramię i zdaje się prosić, ażeby poszedł z nią do domu. Na wprost mała córeczka robotnika spogląda smutnie na niego. Grupa ta wzbudza litość w widzu, nadając całości przedstawionej sceny pewien odcień poetyczny i wzruszający. Po prawej stronie obrazu widać otwarte drzwi, przez które wchodzą różne postacie, zaciekawione mową agitatora. Pozostałe osoby, przedstawione na obrazie, piją, wydają okrzyki i klaszczą.

Obraz Munkacsego wyrazistym rysunkiem i żywym kolorytem wywołuje wrażenie wielkiej prawdy życiowej, a groza dramatyczna użyta w miarę, nie psuje wrażenia całości.

Polacy tego roku więcej nadesłali dzieł niż w ubiegłym kiedy wystawa lwowska wielu ich odciągnęła. Wymieniamy obrazy najbardziej zwracające uwagę. Mianowicie Wacław Szymanowski nadesłał „Upał“ i „Idyllę“, dwa obrazy, o których już wspominaliśmy. Rozen „Napoleona opuszczającego armię w Smorgoniach“. Nadto wystawili swe obrazy: Gerson, Kowalski, Nałęcz, Raysner i Świejkowski. W dziale rzeźby znajdujemy prace Godebskiego, Trojanowskiego, N. Tarnowskiej, M. Tarnowskiego i Konstantego Laszczki.

Ten ostatni wystawił rzeźbę p. t. „Rozpacz dziewczyny“. Historya artysty jest dość romantyczną. Małego chłopaka wiejskiego, który prostym kozikiem wystrugiwał sobie figurki, świadczące o jego talencie, przywieziono do Warszawy dla wykształcenia go na rzeźbiarza. Od czterech lat zaś Laszczka jest w Paryżu w „Ecole des beaux arts“, gdzie jego talent rozwija się prawidłowo, wyróżniając się oryginalnością w pomysłach. Laszczka, jak się sam wyraża, robiąc „własnym dworem“, potrąca o tematy nieraz niestety prawie niemożliwe. Weźmy n. p. wspomnianą rzeźbę „Rozpacz dziewczyny“. Przedstawia ona nagą postać młodej dziewczyny, która ma zostać matką. Wprawdzie fachowcy powiadają, iż to rzecz doskonale modelowana i przepowiadają jej medal, artysta zaś lekko tylko zamarkował drażliwe szczegóły, a całą siłę talentu zwrócił na ruch rozpaczliwie podniesionych i załamanych rąk i na wyraz twarzy, ale trudno znów publiczności pogodzić się z tego rodzaju realizmem.

Głosy publiczności.

Podziękowanie.

W nocy z dnia 2 na 3 maja zniszczył pożar tartak parowy w Rytrze, własność panów baronów Liebiegów, wraz z wszystkiemi prawie zapasami materyałów.

Pierwsza na placu była straż ogniowa, dopiero co parę tygodni ukonstytuowana, miasteczka Piwniczny, która swojem energicznem wystąpieniem i wielkiem poświęceniem do ocalenia okalających bubynków i reszty zapasów drzewnych głównie się przyczyniła. Później nieco nadjechała straż ogniowa ze Starego Sącza i warsztatów kolejowych z Nowego Sącza, poczem pożar zupełnie zdołano zlokalizować.

Nie małą zasługę przy pożarze położył też naczelnik stacyi w Rytrze p. Jan Fenz, jakoteż posterunki żandarmeryi z Piwnicznej i Starego Sącza.

Za wszelkie trudy powyższych korporacyi, jakoteż osób pojedynczych składa zarząd lasów w Rytrze w imieniu panów baronów Liebiegów najserdeczniejsze podziękowanie.

Zarząd lasów w Rytrze
Schille.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 14 maja.

(Z.) Grupa Rotszyldowska objęła dziś od rządu ostatnią 25-milionową partyę austryackiej renty złotej. W ten sposób cała suma, jaką minister finansów miał upoważnienie wypuścić, została już ulokowaną, a austryackiej renty złotej jest teraz w ubiegu na 491 milionów reńskich. Objęcie tej ostatniej partyi renty złotej wywołało chwilowo cokolwiek żwawszy ruch w kredytach, zresztą panowała tak jak i wczoraj kompletna stagnacya, pomimo że sytuacya targów zagranicznych zachęcała do zwyżki. Ale giełda nasza ma obecnie dużo swoich kłopotów, polityczna sytuacya na Węgrzech dotychczas nie jest wyjaśniona, a wybór Luegera pierwszym wiceburmistrzem jest dla giełdy także wypadkiem bardzo nieprzyjemnym.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 400·25, węgierskie 459·—, Anglobanki 173·—, Uniony 331·50, Bankvereiny 165·10, Landerbanki 281·20, Ludwiki 222·50, Czerniowieckie 326·50, Elbethale 293·25, Renta papierowa 101·45, srebrna 101·35, austryacka złota 123·55, 4% austr. renta wal. kor. 101·55, węgierska złota 123·—, 4% węgierska renta wal. kor. 99·10, dukat 5·73—, 20-frankówka 9·60½, marki 11·93, ruble 1·31¼.

Wiedeń 14 maja. Spirytus 15·70—15·80.

§ **Sprawozdanie** tygodniowe izby handlowej i przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 4 do 11 maja 1895 r. — bez opłaty akcyzowej: Przenica 7·70 do 8·20, żyto 6·10 do 6·50, jęczmień browarny 5·75 do 6.55, jęczmień pastewny 5·10 do 5·45, owies 5·85 do 6·40, hreczka 8·10 do 9·05, kukurudza zeszłoroczna 6·50 do 7·—, kukurudza nowa 5.80 do 6·60, proso 0·00 do 0·00, groch do gotowania 5·75 do 9·25, groch pastewny 5·40 do 6·10, soczewicza 0·— do 0·—, fasola 0·— —·—, bobik 5·— do 5·75, wyka 5·— do 6·50, koniczyna 54·— do 75·—, tymotka 25·— do 35·—, anyż rosyjski —·— do —·—, anyż płaski —·— do —·—, kminek —·— do —·—, rzepak zimowy 9·15 do 9·90, rzepak letni —·— do —·—, lnianka 0.— do 0·—, nasienie lniane 9·50 do 10·25, nasienie konopne 0·— do 0·—, chmiel —·— do —·—, nafta zwykła 17·— do 18·—, nafta salonowa 19·— do 20·—, wosk ziemny —·— do —·—, Spirytus 10.000 litr. pr. gotowy kontyngentowany, bez podatku konsumcyjnego 14·90 do 15·15.

Telegramy „Przeglądu“.

Budapeszt 16 maja. Izba magnatów na wczorajszem posiedzeniu zgodnie z wnioskiem Zichy'ego skreśliła resztę paragrafów, zawartych w trzeciej głównej części projektu nowej ustawy kościelnej, a dotyczących wolności wykonywania wszystkich religii.

Następnie za przejściem do debaty szczegółowej nad projektem ustawy o recepcyi żydów w głosowaniu imiennem oświadczyło się 107 obecnych, przeciw także 107, przewodniczący więc rozstrzygnął na korzyść przejścia do debaty szczegółowej. Przyjęto pierwszy paragraf wspomnianej ustawy, odrzucono natomiast drugi, poczem dalsze obrady odroczono do dnia dzisiejszego.

Praga 16 maja. Odbyło się tu uroczyste otwarcie czesko-słowiańskiej wystawy etnograficznej. Po dokonaniu aktu otwarcia, namiestnik hr. Thun zwiedzał wystawę, oprowadzany przez prezesa jej Lazansky'ego, w towarzystwie burmistrza miasta Gregora i wszystkich prezesów honorowych. W zwiedzaniu tem wzięli udział prócz namiestnika, marszałek kraju, komenderujący jen. Gruenne i inni dygnitarze cywilni i wojskowi. W poszczególnych oddziałach wystawy przedstawiano namiestnikowi członków komitetu, którzy się zajmowali ich urządzeniem. Wystawa, obficie wyposażona, daje dokładny obraz cywilizacyjno-historycznego, geograficznego, etnograficznego, językowego i naukowego rozwoju narodu czeskiego. Najświetniejszemi jej punktami są: część przedstawiająca wioskę czeską i „Stara Praga“. Zwiedzanie owo trwało półtorej godziny, przyczem namiestnik kilkakrotnie rozmaitym dygnitarzom wystawy wyrażał swe zadowolenie.

Paryż 16 maja. W procesie przeciw kapitanowi Lechatellierowi, który niedawno w pojedynku zabił swego przeciwnika Harryalisa, zapadł wczoraj wyrok. Sędziowie przysięgli uwolnili od winy zarówno Lechatelliera, jak jego sekundantów.

Londyn 16 maja. W wyborze uzupełniającym do parlamentu z okręgu Westdorset, Wilials, kandydat unionistów liberalnych, znaczną większością głosów zwyciężył kandydata partyi rządowej.

Spezia 16 maja. Eskadra włoska, która pod wodzą księcia Genui ma się udać do Kielu na uroczystość otwarcia kanału, łączącego morze niemieckie z Bałtykiem, wyruszy stąd prawdopodobnie 20 b. m.

Budapeszt 16 maja. Prezes ministrów Banffy wyjechał wczoraj wieczorem do Wiednia.

Wiedeń 16 maja. Dzienniki donoszą, że Cesarz pojedzie 29 maja do Lincu na uroczyste otwarcie nowowybudowanego muzeum.

Umarł tu poseł do rady państwa dr. August Weeber, członek niemieckiej lewicy.

Arcyksiężna wdowa Stefania powróciła do Lauenburga z podróży na Wschód.

Dziś o 1 w południe będzie Banffy na audyencyi u Cesarza. Otrzymał on także zaproszenie na dzisiejszy obiad dworski.

Belgrad 16 maja. Urzędownie zaprzeczają, jakoby rząd zamierzał obniżyć kupony od swych obligów. Zarazem zapewniają sfery rządowe, że pieniądze na wypłatę lipcowego kuponu są już przygotowane i po większej części wysłano je już do zagranicznych miejsc wypłaty.

Wiedeń 16 maja. Minister handlu mianował prezydenta Bilińskiego i starszego inspektora Lebera zastępcami swymi na międzynarodowym kongresie kolejowym, który odbędzie się 26 czerwca w Londynie, i zastrzega sobie, że może jeszcze osobiście weźmie udział w tym kongresie.

HOTEL IMPERIAL.
KRZYSZTOF JANOWICZ
Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 15 maja. K. hr. Scipio z Krakowa. H. Kieszkowski z Krakowa. A. Steinmajer z Paryża. K. Hempel z Kassel. S. Lehr z Wiednia. M. Brod z Biały. B. Śmiałowski z Stojaniec. K. Kuczera z Pragi. L. Richter z Gorlic. F. ks. Majewski z Maryampola.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON i Spółka.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 15 maja. M. hr. Zyberg-Platerowa z Moszkowa. E. hr. Starzeński z Mogielnicy. M. Kukusch z Janowa. Fr. Czarnohorski z Tarnopola. H. Swidziński z Trembowli. Dr. A. Strzelbicki z Czerniowiec. J. ks. Bielewicz z Krakowa J. Ebel z Berlina. Dr. Luper z Kimpolungu.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 15 maja. W. Gorzycka z Bukowiny. J. Pawłowska i Wł. Trzciński z Podola rosyjskiego. A. Gorayski z Moderówki. L. Szawłowski z Przewłoki. A. Münter z Maniowa. D. Słonecki z Jurowiec. A. Garapich z Zagórza. P. Jakubenz ze Stanisławowa. L. Kriser z Wygody. W. Stoy z Zakliczyna.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 16 maja (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 221·— do 224·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 327.— do 331·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 442.— do 452.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. z 10 proc prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.80 101·50, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat 101·30 do 102.—, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 98·— do 98·70 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20 4 proc. los. w 41 i pół latach 98·— do 98·70, 4 proc. los. w 56 lat. 98·— do 98·70.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 98·40 do 99·10 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.— do 102.70 Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.10 do 102·80 Pożyczki kraj. 6 proc. 105— —·—, 4 pół proc. 100.70 do 101.40, 4 proc. z r. 1891 98.30 do 99·—, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 98·50 do 99·20.

Monety. Dukat cesarski 5·70 do 5.80, Napoleondor 9.65 do 9.75, Półimperyał 10.— do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.28 do 1.32, 100 marek niemieckich 59.40 do 59·90.

Wiedeń 15 maja. Notowania wieczorne. Kredyty 401·25, węgierskie kredyty 462·25, anglobank 173·—, bankverein 164·80, unionbank 331.—, länderbank 282·30, staatsbahny 429.12, lombardy 103.87, elbethale 293.87, akcye tytoniowe 239.50, rima 275.75, alpiny 86·20, renta majowa 101.50, węg. renta złota —·—, austr. renta koronna —.—, losy tureckie 84.80, węg. renta koronowa 99·20, marki 59.67, ruble 131.12.

Wiedeń 16 maja (godz. 11 w południ.) Kredyty 400.85, kred. węg. —.—, Anglobanki 173.25, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 281.50, Akcye tyton. 239.50, Staatsbahny 430.15, Lomb. (z kup.) 104.15, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 59.65, Losy tureckie —·—.

DWIE KUZYNKI

POWIEŚĆ

przez **Katarzynę Green.**

(Przekład z angielskiego)

(Ciąg dalszy).

— Ktoby zaś chciał wyjść przez drzwi boczne, musiałby przechodzić przez podwórze pod oknem kuchni i naturalnie byłby spostrzeżony przez kucharkę. To mogę zaręczyć.

Mówiąc to rzucił kucharce spojrzenie napół złośliwe, napół drwiące, które świadczyło, że istniały między nimi jakieś nieznaski.

Odpowiedź ta wywarła silne wrażenie.

...Dom był zamknięty na klucz, nikt nie mógł zeń wyjść. A zatem morderca znajdzie się niebawem.

Sędzia przysięgły poruszał się coraz niespokojniej na krześle i oglądał się wkoło; lecz spostrzegłszy żywe zainteresowanie na wszystkich twarzach, nie chciał widocznie osłabiać efektu nowemi pytaniami. Usiadł więc, pozostawiając wolne pole innym przysięgłym, którzyby chcieli zabrać głos w tej sprawie. Lecz żaden z nich nie miał widocznie ochoty ku temu. Po chwili pełnego szacunku oczekiwania, Tomasz zapytał:

— Czy panowie jeszcze mnie potrzebują?

Nie było na to odpowiedzi. Kamerdyner spojrzał na resztę służby z widocznem zadowoleniem; ogólną uwagę zwróciła zmiana, jaka zaszła w jego zachowaniu. Cofnął się żywo, z radością widoczną, której na razie zrozumieć nie mogłem.

Następny świadek był moim świeżym znajomym p. Harwell. Zapomniałem wkrótce o Tomaszu i o wątpliwościach, jakie wzbudziły we mnie jego ostatnie odpowiedzi, wśród zaciekawienia, wywołanego ukazaniem się człowieka, taką rolę mającego w tej sprawie, jak— sekretarz prywatny p. Leavenworth, jego prawa ręka.

P. Harwell zajął miejsce na ławie świadków. Był zupełnie spokojny, lecz z postawy jego, pełnej godności, znać było, że ocenia wielką doniosłość przesłuchania. Usposobiło to przychylnie względem niego wszystkich, nawet mnie, choć mi się nie podobał przy pierwszem widzeniu się z nim.

Pomimo przystojnej twarzy, młodzieniec ten, jak to już mówiłem, przedstawiał typ banalny i niczem nie zwracał na siebie uwagi. Podobny był do tysiąca ludzi, spotykanych codziennie na Broadway. Przy bliższem jednak przyjrzeniu, zastanawiał w nim wyraz uroczystego niemal skupienia, świadczący jakby, iż człowiek ten miewał w życiu więcej chwil przykrych, niżli miłych i więcej trosk i kłopotów, niżli radości.

Sędzia śledczy nie zwrócił jednak uwagi na te szczegóły i odrazu począł go badać.

— Nazwisko pańskie? — rzekł.

— James-Erneman Harwell.

— Pańskie zajęcie?

— Od ośmiu miesięcy zajmowałem stanowisko sekretarza prywatnego i kopisty p. Leavenworth.

— Jesteś pan ostatnią osobą, która widziała p. Leavenwortha, nieprawdaż?

Młodzieniec podniósł dumnie głowę.

— Nie ostatnią, ponieważ nie ja jestem jego mordercą.

Słowa te wypowiedziane głosem nawpół drwiącym, wywołały w sali szmer niezadowolenia. Tem jednem odezwaniem się Harwell odrazu zatarł wrażenie dodatnie, jakie wywarła na zgromadzonych jego postawa pełna godności i otwarte spojrzenie.

Zrozumiał to widoczie, podniósł głowę jeszcze wyżej.

— Chciałem powiedzieć — rzekł sędzia śledczy, urażony tem, iż świadek mógł ze słów jego wyciągnąć podobne konkluzye — chciałem powiedzieć, że pan ostatni widziałeś go przed śmiercią.

Sekretarz skrzyżował ręce na piersiach, czy to dla ukrycia nerwowego drżenia, czy też dla zyskania czasu, aby módz zebrać myśli.

— Nie umiem odpowiedzieć na pańskie pytanie — rzekł. — Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, ja ostatni widziałem go żywym, lecz dom ten jest tak wielki, że twierdzić tego stanowczo nie mogę.

Spostrzegając, iż twarze obecnych odbijają uczucia nieprzychylne, dodał:

— Z obowiązków moich jednak wynikało, iż musiałem go widzieć ostatni.

— Z obowiązków pana, jako sekretarza, przypuszczam? — badał sędzia.

Zapytany skinął głową na znak potwierdzenia.

— Panie Harwell — ciągnął dalej sędzia — posada sekretarza prywatnego jest nader rzadką w naszym kraju. Zechciej nam pan wytłómaczyć, jakie były pańskie funkcye.

— P. Leavenworth, jak państwu wiadomo, miał wielki majątek, korespondował z rozmaitemi stowarzyszeniami, klubami, zakładami i t. d., a że nadto znany był w całym New-Yorku ze swej dobroczynności, więc otrzymywał codziennie mnóstwo próśb o wsparcie. Ja otwierałem te listy i odpowiadałem na nie: jego zaś listy prywatne miały zawsze na kopercie znaczek, odróżniający je od innych. Nie na tem jednak ograniczały się moje obowiązki, P. Leavenworth za młodu odbył kilka podróży do Chin i zajmował się handlem herbatą, interesowały go też żywo stosunki z Chinami. W podróżach swych nabył wiele wiadomości, które mogły przyczynić się do utrwalenia stosunków handlowych z tym krajem od lat kilku, powziął zatem myśl napisania dzieła, ku obznajomieniu swych ziomków z charakterem Chińczyków i najpewniejszemi drogami zbytu. Pomagałem mu w gromadzeniu i klasyfikacyi materyałów i codziennie przez trzy godziny pisałem pod jego dyktandem. Ostatnia godzina przypadała zwykle od wpół do dziesiątej do wpół do jedenastej wieczorem. P. Leavenworth był człowiekiem systematycznym, życie własne i otaczających go osób uregulował ściśle.

— Powiadasz pan, że wieczorami pisywałeś zazwyczaj pod jego dyktandem, czy także ostatniego wieczora?

— Tak, panie.

— Czy nie mógłbyś pan powiedzieć nam jak wyglądał, w jakim był humorze? Czy było w nim coś nienormalnego?

Sekretarz zmarszczył brwi.

— Ponieważ pan nie przeczuwał zapewne swego smutnego losu, skądże mogło być coś nienormalnego w jego zachowaniu?

Uwaga ta dała sędziemu śledczemu pole odpłacić p. Harwell za jego ostre odezwanie się przed chwilą.

— Obowiązkiem świadka — rzekł on — jest odpowiadać na pytania, nie zaś je stawiać.

Sekretarz poczerwieniał.

— A zatem odpowiadam — rzekł. — Jeśli nawet p. Leavenworth miał przeczucie rychłej śmierci, to mi się z niem nie zwierzył. Przeciwnie, zdawał się bardziej niż kiedykolwiek zajęty swem dziełem. Jedne z ostatnich jego słów do mnie były: „Za miesiąc będę mógł oddać moją książkę wydawcy." Pamiętam, że mówiąc to nalał sobie kieliszek sherry. Przed udaniem się na spoczynek pijał wino. Ja zwykle wyjmowałem butelkę z szafy i stawiałem mu ją na stole. Spełniwszy to wczoraj wieczór, trzymałem już rękę na klamce drzwi do sieni, gdy rzekł do mnie owych kilka słów. Zbliżyłem się do niego znowu. „Ja mam nadzieję, panie Leavenworth — rzekłem — iż dzieło zostanie ukończone w tym czasie." — „No, to wypij pan ze mną kieliszek sherry" — zawołał i nalał mi wina. Wprawdzie niezbyt lubię sherry, ale nie śmiałem odmówić i wychyliłem kieliszek do dna. Pamiętam, żem się tego potem zawstydził, widząc że p. Leavenworth zaledwie połowę nadpił ze swojego. Gdyśmy dziś rano weszli do biblioteki, kieliszek stał jeszcze widocznie nietknięty od owej chwili.

Pan Harwell z trudnością panował nad swem wzruszeniem. Wyjął chustkę z kieszeni i otarł spocone czoło. Po chwili ciągnął dalej:

— Gdy p. Leavenworth postawił kieliszek na stole, powiedziałem mu „dobranoc" i wyszedłem. Co potem się stało, nie wiem.

Sędzia śledczy oparł się na fotelu i patrzał na młodzieńca badawczo.

— Gdzieżeś się pan udał po wyjściu z biblioteki?

— Do mojego pokoju.

— Czyś pan nie spotkał nikogo po drodze?

— Nie, panie.

— Czyś pan nic nie widział, nic niezwykłego nie słyszał?

— Nie, panie — odparł Harwell głosem nieco wzruszonym i drżącym.

— Zastanów się pan. Czyś gotów przysiądz, że nie spotkałeś po drodze nikogo i żeś nie spostrzegł nic godnego uwagi?

Na twarzy sekretarza odbił się przestrach. Dwa razy usta otworzył i zamknął je znowu, nie powiedziawszy ani słowa. Wreszcie z pewnym wysiłkiem rzekł:

— Widziałem coś... nie warte to nawet wzmianki, lecz, że się nie zdarzało codzień, więc skoro pan nalegasz, mimowoli przychodzi mi to na myśl.

— Cóż takiegoo?

— Drzwi uchylone.

— Jakie drzwi?

— Drzwi od pokoju miss Eleonory Leavenworth.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W Hodak